



HALINA GÓRSKA

**O księciu
Gotfrydzie, rycerzu
Gwiazdy Wigilijnej**

HALINA GÓRSKA

O księciu Gotfrydzie, rycerzu Gwiazdy Wigilijnej

DWANAŚCIE CUDOWNYCH OPOWIEŚCI PRZEZ MISTRZA JOHANNESA SARABANDUSA, ASTROLOGA KRÓLA JE-GOMOŚCI, SPISANYCH

W wigilię Bożego Narodzenia, Roku Pańskiego (w tym miejscu rękopis jest nieczytelny), tłumy zaległy podworzec¹ zamkowy. Wszystkie oczy wpatrzone były w krużganek², z którego herold³ oznajmić miał wielką nowinę.

¹podworzec a. podwórzec (daw.) — podwórze, dziedziniec. [przypis edytorski]

²krużganek — korytarz biegnący wokół budynku. [przypis edytorski]

³herold — tu: wysłannik królewski. [przypis autorski]

Wszystkie serca były zgodnie, o jedno prosząc Pana.

Nigdy chyba żaden następca nie był goręcej przez lud oczekiwany. I nie dziwota: brat królewski, książę Gerald, który w razie bezdzietności króla tron by po nim objął, znany był z charakteru okrutnego, podstępnego i gwałtownego.

Trudno było zaiste powiedzieć, czy więcej się go bano, czy też nienawidzono bardziej.

Jednak dziwny niepokój ogarniał wszystkich, albowiem Bóg zdawał się przez szczególne znaki i wypadki niezwykle zwiastować. Nieśłychaną bowiem jest rzeczą, by burza w grudniu się zdarzyła, a tymczasem na dwa dni przed wilią⁴ taka się nawałnica rozpętała, że w dzień ciemno było od chmur, w noc jasno od błyskawic, a od łoskotu grzmotów waliły się drzewa.

Dwa dni i dwie noce srożyła się owa burza, aż na trzeci, w wilię właśnie, uspokoiła się nagle. Niebo wypogodziło się, słońce świeciło,

⁴*wilia* (daw.) — wigilia, przeddzień; tu: Wigilia Bożego Narodzenia. [przypis edytorski]

jakby to już marzec albo i kwiecień nadchodził, a powietrze było takie ciepłe i pachnące jak w maju.

Zmrok już zapadł, ale nikt z miejsca się nie ruszył, by do domu na wieczerzę⁵ podążyć.

I oto w tej samej chwili, gdy na niebie błysnęła pierwsza gwiazda, ta co niegdyś pastuszków do Betlejem prowadziła, na krużganku ukazało się dwóch pachołków z pochodniami, a za nimi herold królewski. Niech żyje syn i dziedzic pana naszego! — wyrwał się z tysiąca pierśi gromki okrzyk, ale nagle wszyscy zamilkli, bo oto nad swymi głowami tłum ujrzał coś niezwykłego: w srebrzystym, oślepiającym blasku ukazał się w górze śnieżnobiały gołąb, a za nim czarny jastrząb.

Z błyskawiczną szybkością zatoczył gołąb krąg nad dziedzińcem i przez otwarte okno, ponad głową herolda, do zamku wleciał, a za nim drapieżnik okrutny. Gołąb przeleciał jedną i drugą salę i ostatkiem sił do komnaty,

⁵wieczerza — kolacja. [przypis edytorski]

gdzie leżała królowa, dotarłszy wprost na piersi śpiącego w kołysce małego księcia upadł.

Jastrząb przypadł do niego chcąc go porwać, ale jakby przeraziwszy się dziecka cofnął się, ze strasznym krzykiem w tył się rzucił, głową o wiszącą na ścianie lirę uderzył i martwy na ziemię upadł.

Strwożył się bardzo król, przywołać mnie kazał i w te ozwał się słowa:

— Znane ci są, mistrzu, wszystkie dziwne znaki, które przyjdzie na świat mego syna i następcy towarzyszyły. Powiedz mi więc, co by one znaczyć mogły i co syna mego w przyszłości oczekuje?

— Miłościwy królu! — rzekłem. — Daj mi trzy dni czasu, iżbym mógł księgi moje i gwiazdy o pomoc prosić, a spełnię twe życzenie.

— Niech i tak będzie, choć serce moje drży z niepokoju i niecierpliwości — odparł król. — Za trzy dni nakazuję wszystkim moim rycerzom stawić się w sali tronowej.

Wysłucham w otoczeniu mych wiernych wasali⁶ twojej odpowiedzi. Bacz jednak, byś tylko to, co w księgach i gwiazdach wyczytasz, mówił, nic dla uspokojenia mnie lub pochlebiania mi nie dodając.

Kiedy po trzech dniach wezwano mnie przed oblicze królewskie, zastałem miłościwego pana w otoczeniu wszystkich wasali. Po prawej zaś jego stronie stał książę Gerald, chmurny i posępny jak zwykle, z ręką wspartą na rękojeści miecza, a na ławach purpurą okrytych, pod ścianami stojących, siedzieli dostojni grafowie⁷ i baronowie.

Skłoniłem się głęboko królowi i w te ozwałem się słowa:

— Królu mój i wy, szlachetni mężowie! Oto jest przepowiednia, którą w gwiazdach i księgach tajemnych wczytałem: Książę Gotfryd Zwycięzca (tak go bowiem wszyscy zwać będą) urodzony jest pod cudownym i tajemniczym znakiem Gwiazdy Wigilijnej. Zostanie on naj-

⁶*wasal* — lennik, poddany, który w zamian za otrzymane dobra zobowiązany był służyć władcy. [przypis edytorski]

⁷*graf* (daw.) — hrabia. [przypis edytorski]

większym rycerzem i pieśniarzem, jaki istniał i istnieć będzie w chrześcijaństwie całym, a w noc Bożego Narodzenia siłą nadludzką i przez żadne potęgi niezwyciężoną obdarzony będzie. Przeznaczone jest mu życie niebezpieczeństw i chwaly pełne.

Dziecięciem małym jeszcze będąc, w zawierusze wojennej rodziców utraci.

Z więzienia, w którym krewny i opiekun go zamknie, przez ptaki oswobodzony, na skrzydłach ich przeleci morze.

W obcym dalekim kraju, nie w jedwabiach i aksamitach, lecz w płótnie zgrzebnym⁸, za owcami chodzić będzie.

Zwabiony przez elfy⁹, niebezpieczeństwa wielkiego dzięki cudownej mocy swych pieśni uniknie.

Górali i pastuszków od okrutnego wilkołaka i wiedźm uwolni.

⁸*zgrzebny* — utkany z grubej przędzy konopnej albo lnianej; prosty, skromny.
[przypis edytorski]

⁹*elf* — mały baśniowy duszek leśny, mieszkający w kielichach kwiatów.
[przypis autorski]

Córkę wielkiego króla uzdrowi i na dworze jego paziem¹⁰ zostanie.

Ostrogi rycerskie otrzyma¹¹, zwycięzcę stu turniejów pokonawszy.

Mieczą nie dobywając zamek warowny, na który sam król z całą drużyną porwać się nie ważył, zdobędzie.

Księżniczka mórz podaruje mu pierścień czarodziejski, władzę nad morzem dający.

Wróżka Wiwiana obdarzy go ametystem, moc cudowną i tajemniczą mającym.

Do kraju powróciwszy, tyrana, co tronem jego podstępnie zawładnął, wypędzi i długo i szczęśliwie panować będzie.

Najpiękniejszą na ziemi królownę z niewoli mocarza, co jednym uderzeniem obala skały, oswobodzi.

Oto opowiedziałem już wszystko, co wyczytałem w gwiazdach i księgach, nic dla uspokojenia serca twego, królu, ani dla pochlebiecia ci nie dodając.

¹⁰*paż* — chłopiec ze szlacheckiego rodu służący na dworze. [przypis edytorski]

¹¹*otrzymać ostrogi rycerskie* — zostać pasowanym na rycerza. [przypis autorski]

Zapalił się wielkim gniewem książę Gerald i parę kroków ku mnie postąpiwszy groźnie przemówił:

— Chytry starcze! Cóżem ci uczynił, że serce brata mego chcesz ode mnie odwrócić? Zaprawdę, gdyby nie wzgląd na majestat królewski, dobyłbym miecza i na miejscu jak psa bym cię ubił! Wszystkim jest przecie wiadomo, że nie ma król innych prócz mnie krewnych, więc o mnie to, nikczemniku, mówisz, że bratanka mojego ukochanego będę więzić? Ty oszuście kłamliwy!

— Astrologiem jestem — odparłem — obowiązkiem jest moim to, co w gwiazdach wyczytam, głosić, nic nie dodając ani też ujmując. Zamilknij tedy¹², książę, bo wielce obelżywe są twe słowa!

Zmarszczył brwi król i rzekł:

— Za niedołęznego mnie widać starca albo za dziecko nierozsądne ty i Gerald poczytujecie! Za dziecko, które bajce każdej uwierzy, choćby mu o morza na skrzydłach przelatywa-

¹²tedy (daw.) — zatem, więc. [przypis edytorski]

niu, o mocarzu, co skały obala, lub o rycerzu, co bez miecza nieprzyjaciół poskramia, opowiadać. Gdyby nie twoje siwe włosy, nie uszłyby ci płazem te kłamliwe wymysły, w których w dodatku czci mego brata śmiesz uwłaczać!

— Czy do mnie tak mówisz, królu? — zapytałem. — Do mnie, któregoś przyjacielem swoim nazywał? Odkądże to, królu, za kłamcę mnie uważasz? Prawda, że wróżby moje dziwne brzmiały, ale nie ma nic tak dziwnego, królu, co by się na świecie zdarzyć nie mogło. Skądże to wiedzieć możesz, że syn twój na skrzydłach nie przeleci morza lub nie pokona pieśnią nieprzyjaciół, jeśli się tak Panu Bogu będzie podobało? Skądże to wiedzieć możesz, że nie ma mocarza, co jednym uderzeniem rozbijałby skały? Czy zwiedziłeś wszystkie kraje i morza, i przepaści, i góry? Czyś wszedł w głąb ziemi i oglądałeś sfery nadpowietrzne? A gdybyś to nawet uczynił i takiego męża nie znalazł, to czy nie może on zjawić się na świecie w każdej chwili, jeśli się tak Panu Niebios będzie podobało?

Ale król słuchać mnie wcale nie chciał i skinieniem ręki odprawił. Odszedłem tedy ze smutkiem w sercu. Od tej pory utraciłem zaufanie pana mojego, ale przyszłość, jak to się w tej księdze pokaże, ziściła wszystkie moje przepowiednie.

Nie po to jednak ją napisałem, by mądrość własną chwalić, ale po to, by sławę nauki, której służę, utrwalić. Zastrzegam się jeszcze, że nie cały żywot księcia Gotfryda, rycerza przesławnego, opowiadam, bo musiałbym chyba nie dwanaście opowieści, ale ksiąg dwanaście o czynach jego znakomitych napisać, jeno¹³ tę część jego, która się przepowiedni moich tyczy.

DZIECIĘCIEM MAŁYM JESZCZE BĘDĄC W ZAWIERUSZE WOJENNEJ RODZICÓW UTRACI...

O księciu Gotfrydzie opowieść pierwsza

¹³jeno (daw.) — tylko, jedynie. [przypis edytorski]

Nie mógł się król miłościwy synaczkiem swoim nacieszyć, nie mógł się mu dość napastryć, nie wiedział sam, jak ma Bogu za dziecko to cudowne dziękować.

Piękny bowiem był mały książę Gotfryd! Kiedy czasem na skrzypeczkach swych grając oczy szafirowe w niebo wznosił, a włosy mu się w ciemnych pierścieniach na ramiona rozsypały, to zdało się każdemu, że to aniołek z chóru niebieskiego.

A grał książę Gotfryd na swych skrzypeczkach maleńkich, darze jednego z królewskich wasali, nad podziw pięknie, choć mu się siódma jeszcze nie zaczęła wiosna.

Ale dał Bóg Gotfrydowi nie tylko oczy błękitne i świetliste, lecz i duszę błękitną i świetlistą.

Nie przeszedł nigdy obojętnie książę Gotfryd obok czyichś łez i czyjegoś cierpienia, a choć tak mały jeszcze, każdego umiał pocieszyć i rozweselić, każdemu pomóc. Ale nie tylko ludzi miłowało owe dziwne chłopię, lecz także zwierzęta i rośliny, i wszystkie żywe stworzenia. I nikt

nie śmiał w jego obecności krzywdy najmniejszemu zwierzątku uczynić, a najpłochliwsze ptaki i zwierzątka czuły widać, że mają w nim przyjaciela i opiekuna, bo nie lękały się go wcale i nie uciekały przed nim.

A odwagę i siłę miał taką, że gdy raz byczek jakiś młody, nie wiadomo skąd się wyrwawszy, wprost na niego z pochylonymi rogami wpadł, Gotfryd, miast do ucieczki się rzucić, za rogi go pochwycił i przytrzymał, dopóki nie nadbiegli pacholankowie...

Miłowali też wszyscy rycerzyka owego, a psuli, a pieścili!

Królowa go piosenkami do snu kołysała i piosenkami ze snu budziła.

Król, na kolanach go trzymając, o rodzie jego sławnym i rycerzach dzielnych opowiadał.

Kasztelan¹⁴ zamkowy miecze mu i łuki z drewna strugał i na konia sadzając dosiadać i jeździć na nim uczył.

¹⁴*kasztelan* — w dawnej Polsce urzędnik zarządzający zamkiem albo miastem i jego okręgiem, także urzędnik ziemski zasiadający w radzie królewskiej lub w senacie. [przypis edytorski]

Panny służebne w jedwabie go i aksamity stroiły, włosy mu trefiać¹⁵ i w pierścienie zwi-
jając.

Stara piastunka baśnie mu czarodziejskie
bajała i przysmakami karmiła.

A już co do dworzan, to ci się w usługach
i zabawach dla małego pana prześcigali; jed-
ni dlatego, że go szczerze kochali, inni, by się
królowi i królowej przypodobać.

Ale zdarzyło się razu pewnego, że nieprzy-
jaciół wielki na kraj napadł.

Pożegnał się tedy król z żoną i synkiem
i z drużyną swą rycerską bronić granic państwa
pojechał. W niepokoju wielkim i we łzach cze-
kała królowa na wieści od męża. Minął dzień
jeden i drugi, a żaden goniec z pola bitwy nie
nadjeżdżał. Aż na trzeci dzień róg się pod mu-
rami zamku odezwał. Spuszczają pospiesznie straż-
nicy most zwodzony, wjeżdża na dziedziniec
rycerz we krwi cały i kurzu. Wybiegła prze-
ciw niemu królowa, wybiegł dwór cały, a rycerz
z konia zeskoczywszy ozwie się wesoło:

¹⁵*trefić* (daw.) — układać włosy w loki. [przypis edytorski]

— Raduj się, najjaśniejsza pani! Wojska nasze nieprzyjaciół rozbiły i król z rycerzami uchodzących ściga. Przygotujcie się na jego przyjęcie, bo tylko go w zamku patrzeć!

Ucieszyła się królowa, ucieszyli się dworzanie, ucieszył się lud cały i, w piękne szaty się przystroiwszy, z zielenią, kwiatami i śpiewem witać zwycięzcę wyszli.

Jakoż niedługo czekali.

Zatętniły kopyta, zabrzęczały zbroje i nadjechali królewscy rycerze.

Jeno nie dęli w rogi i pieśni nie śpiewali, jako zwycięzcom przystoi — w ciszy i w smutku wielkim.

Jeno nie jechał na ich czele król ich mężny, miłościwy i szlachetny — na płaszczach ciało jego czterech grafów z odkrytymi głowami niosło. Bowiem gdy wrogów rozbiwszy do zamku powracał, żołdak¹⁶ jakiś nieprzyjacielski, za drzewami się przyczaiwszy, oszczepem w niego rzucił.

¹⁶żołdak (daw.) — żołnierz najemny. [przypis edytorski]

Oj, jakżeś ty, płatnerzu¹⁷ królewski, tę zbroję złotą kuł, że ją na wylot oszczep zdradziecki przebił i w sercu wroga utkwiał!

Pobladła królowa jak lilia, za serce się chwyciła i martwa na ręce panien służebnych upadła.

Oj, jakżeś ty, płatnerzu królewski, tę zbroję złotą kuł!

Zwołał tedy brat króla wasali co najznakomitszych na naradę i tak do nich przemówił:

— Otośmy stracili króla, brata mego umiłowanego, a wraz z nim i królowę. Osierocony został nasz tron. Co więc mi począć, szlachetni panowie, radzicie?

Tak prawił, a w sercu nadzieję miał, że go wasale na tron zaproszą.

Milczeli grafowie i baronowie, na Rolanda, „Prawym” zwanego, spoglądając, bo szanowali go wielce dla męstwa i rozumu wielkiego, i włosów siwych i zawsze mu w radzie głos pierwszy dawali.

Podniósł się Roland Prawy i odparł bratu królewskiemu:

¹⁷płatnerz — rzemieślnik trudniący się wyrobem zbroi. [przypis autorski]

— Nie przypadła mi do serca twa mowa, książę Geraldzie. Mówisz, że tron osierocony został, i o radę, co z nim czynić, pytasz. A nie zostawił to nam król księcia Gotfryda, syna swego i prawego następcy?

Tak rzekł, a przytaknęli mu wszyscy rycerze.

Nie w smak poszło to księciu Geraldowi, ale złość wielką uśmiechem słodkim pokrywszy rzekł:

— Nie zrozumiałeś mnie, Rolandzie, ani wy, szlachetni rycerze. Wiem ja ci dobrze i nie przeczę temu, że Gotfryd prawym jest tronu następcą. Ale bratanek mój dzieckiem jest jeszcze i trzeba mu dać opiekuna, który by, nim mały książę do lat męskich dojdzie, państwem zarządzał, a jego na dzielnego rycerza wychowywał.

Podniósł się baron Iwon, księcia Geralda przyjaciel i powiernik, i drużyny jego dowódca.

— Któż to, jeśli nie ty, książę, opiekunem Gotfryda być może? Stryjem mu przecież jesteś i mężem tronu najbliższym!

Tak przemówił, a chcąc nie chcąc zgodzić się z nim musiał Roland i inni rycerze, bo prawdą to było, że nikt od brata królewskiego praw większych nie miał do rządów sprawowania.

Został więc Gerald bratanka swego opiekunem i państwa wielkorządcą, ale w duszy korony królewskiej pragnął i jeno nad tym przemyślał, jak by się małego księcia pozbyć.

Rzekł tedy raz do niego Iwon:

— Nie może być inaczej, tylko zrób, jak ci radzę: Stoi nad morzem, pośród urwisk dzikich, wieża wysoka, co niegdyś strażnicą była. Poślij tam Gotfryda z żołnierzem jakim zaufanym i każ go w niej uwięzić, a panom powiedz, żeś go do zamku nad morze wysłał, bo chorowity jest bardzo, a morskie powietrze moc i zdrowie przywraca. Nie wytrzyma wątył dzieciak więziennych niewygód, tęsknoty i samotności i zemrze niedługo, a ty wtedy, żal wielki udając, z honorami królewskimi go pochowasz, a sam koronę otrzymasz, bo się tobie tylko będzie wtedy należała.

Tak mówił ten zbrodniarz niegodziwy, a rado go słuchał książę Gerald, bo był zaprawdę pan godny służby.

PRZEZ PTAKI Z WIĘZIENIA OSWOBODZONY, NA SKRZYDŁACH ICH PRZELECI MORZE...

O księciu Gotfrydzie opowieść druga

Smutna to była wieża, w której Gotfryda zamknięto. Za nią i wokoło niej urwiska się skalne piętrzyły, a przed nią morze zielone i gniewne szumiało, falami raz w raz z wściekłością o skały uderzając i białą bryzgając pianą.

Ani drzewka, nawet najnędnieszego, ani kwiatu, ani trawki nigdzie z niej widać nie było. Zwali ludzie te skały przeklętymi, bo nawet mech rósł na nich nie chciał. Nie przechodził też tędy wieśniak, dzieci nie przybiegały na brzegu się bawić i muszli szukać, rybak nie zarzucał tu swych sieci i nawet mewy unikały tego miejsca.

Nagich ścian izdebki¹⁸ Gotfryda nie pokryto kobiercem¹⁹.

Trochę mu tylko słomy zgniłej na posłanie rzucono. Małe okienko niewiele przepuszczało światła, choć kratą go nie opatrzone, bo chyba ptak mógłby uciec z takiej wysokości.

Siadał w nim nieraz Gotfryd i w dal patrząc czekał, czy nie ujrzy przechodnia jakiego lub łodzi rybackiej.

Ale darmo²⁰. Pusto było wokół i głucho. Tylko wicher wył przeciągle i fale rozbijały się o skaliste brzegi.

Dwa razy jednak do roku miał książę Gotfryd gości:

Późną jesienią przelatywały koło jego wieży ptaki za morze lecące, a wiosną wracały znowu do rodzinnego kraju.

— Dzień dobry, bociany! — wołał mały książę rozwierając okno. — Dokąd to lecicie?

— Do Egiptu, do Egiptu, gdzie płynie błękitny Nil i wznoszą się wysokie piramidy —

¹⁸*izdebka* (daw.) — małe, ubogie pomieszczenie. [przypis edytorski]

¹⁹*kobierzec* — zdobiony dywan. [przypis edytorski]

²⁰*darmo* — tu: na próżno. [przypis edytorski]

odpowiadały bociany, ale chłopiec nie rozumiał ich mowy.

— Pozdrawiam was, jaskółki! — wołał do przelatujących jaskółek.

— I my cię pozdrawiamy, malutki! — odpowiadały jaskółki, ale mały książę nie wiedział o tym.

— Czy to wy, skowronki? Czy to wy, słowiki? Prędko wróćcie?

— Na wiosnę! Na wiosnę. Gdy zazielenią się drzewa i zakwitną sasanki! — odpowiadały mu skowronki i słowiki.

— Jaki śliczny jest wasz świergot — wołał Gotfryd nie domyślając się nawet, że ptaki z nim rozmawiają.

Ostatnie leciały zawsze żurawie jęcząc i zawodząc, a jęk ich przejmował serce Gotfryda smutkiem i tęsknotą, bo wiedział, że teraz zostanie sam na długie, długie miesiące.

Razu pewnego jednak, a wydarzyło się to jesienią, gdy ptaki za morze leciały, chłopak jakiś niedobry do jednej z jaskółek z procy wycelowawszy w skrzydło ją postrzelił.

Wyteęzała biedaczka wszystkie siły, żeby mimo bólu towarzyszkom w locie sprostać i po drodze gdzieś zostawszy w śniegu nie zamarznąć, ale na próżno. Właśnie wtedy, gdy koło wieży przelatywała, siły opuściły ją zupełnie i piszcząc żałośnie na okno upadła.

Obejrzał księżę jej skrzydełko, ostrożnie z niego kamień ostry wyjął i płatkami od koszuli oderwanym, a w wodzie zmoczonym, przewiązał. Potem delikatnie ptaszka na słomie ułożył i sam przy nim usiadł, słowami pieśczośliwymi go pocieszając.

Przez trzy tygodnie pielęgnował Gotfryd jaskółkę, chlebem ją pokruszonym i wodą karmiąc, a trzeciego tygodnia skrzydełko zagoiło się. Niepodobna było jednak ptaszka wypuszczać, bo zima była już na dworze i zamarzlby niechybnie. Miał więc teraz księżę towarzyszkę, a choć niewielka była wzrostem, ale za to tak świergotliwa, wesola i ruchliwa, że odpędzała precz od niego wszystkie smutki.

Z ręki mu się ptaszek ów jeść wkrótce nauczył, a na piersiach zasypiać. Bawił się z nim

książę w gonitwy i chowanekę²¹. Jeno gdy książę ją gonił, nigdy złapać jej nie mógł, bo zaraz na kamień, co pod sklepieniem samym sterczał, wlatywała i stamtąd na niego filuternie spoglądała, jedno oko drwiąco przymrużywszy. Gdy zaś ptaszek jego gonił, wnet go łapał, dzióbkiem za włosy chwytając.

Nie lepiej wiodło się Gotfrydowi i z chowaneką: łatwo bowiem się było schować jaskółce w kąt ciemny czy w jaką szparę w murze, ale trudniej było to Gotfrydowi uczynić, bo niczego, krom²² ścian nagich, w celi jego więziennej nie było. Spróbował co prawda raz, w słomę się zakopawszy, ukryć, ale nie było jej tyle, by go dobrze okryła, toteż ręka mu jedna spod niej wyszła. Zobaczyła to zaraz jaskółeczka i głośno świergocąc słomę po ździebełku odrzucać zaczęła — taka ci to sprytna była bestyjka!

Czasem jej znowu Gotfryd na skrzypkach grywał. I co powiecie? Gdy wesołe piosenki grał, jaskółka kręgi taneczne w powietrzu zata-

²¹*chowanek* (daw.) — chowany, zabawa w chowanego. [przypis edytorski]

²²*krom* (daw.) — prócz, z wyjątkiem. [przypis edytorski]

czała, a gdy w smutnych na los się swój skarżył, na ramieniu mu siadała i łepkę to na prawo, to na lewo przechylając, w oczy mu zaglądała i skrzydełkiem po twarzy gładziła, jakby chciała powiedzieć:

— Nie martw się, jestem przy tobie i kocham cię bardzo...

Tak minęła zima. Zza morza powracać zaczęły ptaki, koło wieży księcia Gotfryda długimi sznurami ze świergotem rozgłośnym a radosnym ciągnąc.

Posmutniała czegoś jaskółeczka.

Nie chciała już więcej się z księciem bawić, przestała go szczebiotem ze snu budzić, po całych dniach nie tykała jadła i siedziała nieruchomo z nastroszonymi piórkami na oknie.

Posmutniał i książę Gotfryd, bo dobrze rozumiał, czego chce jaskółka. Wiosna już była i gdzieś daleko od skał przeklętych zieleniły się łąki i gaje i zakwitały krokusy...

Czyż miał ją jednak wypuścić? Przecież oprócz niej nie miał nikogo na świecie...

Czyż miał ją jednak wypuścić? Przecież zostałby znowu tak samotny i opuszczony jak przedtem...

Ale — czyż mógł ją więzić? Czyż mógł ją pozbawić pól, łąk i lasów, i słońca, i towarzyszy skrzydlatych, i tego wszystkiego, czego on sam nie zobaczy już nigdy?

I oto pewnego razu ucałowawszy ptaszka okno mu książę Gotfryd otworzył. Rozpostarła szeroko skrzydła jaskółka i z wesołym świergotem w niebo uleciała. Patrzył za nią mały książę, póki mu z oczu nie znikła.

Był znowu sam. Zupełnie sam. Jedyne jego przyjaciółka opuściła go i zapomniała o nim.

A kiedy jesienią do ciepłych krajów koło wieży jego przelatywać będzie, to już nie pozna go pewnie nawet — tak myślał Gotfryd i taka go żalność opanowała, że twarzą na ziemię się rzuciwszy głośnym wybuchnął łkaniem.

Mylił się jednak — jaskółka nie zapomniała.

Pewnej nocy jesiennej nie mógł mały książę długo zasnąć, bo wiatr wył i świstał na dworze i morze szumiało groźnie.

A gdy zasnął nareszcie, miał dziwny sen. Śniło mu się, że jest niby w zamku swych rodziców, a niby w więzieniu — jak to czasem we śnie bywa. Przy nim siedzi jego piastunka i opowiada mu jego ulubioną bajkę o latającym dywanie. Ale zaledwie poczyna²³ mówić, każde jej słowo zamienia się w ptaka i wszystkie te ptaki kładą się obok siebie z rozpostartymi skrzydłami. I nagle ptaki znikają, a skrzydła ich zlewają się we wspaniałą stubarwny kobierzec!

— Połóż się na tym kobiercu — mówi piastunka — a poniesie cię on, dokąd zechcesz.

Gotfryd chciał jej usłuchać, ale w tej chwili obudził się. Powstał więc z nędznego posłania, smutniejszy jeszcze niż co dzień, rozmyślając w duszy, jakby to dobrze było, gdyby mu wróżka taki dywan, na którym mógłby w dalekie kraje z wieży tej ulecieć, podarowała.

²³poczynać (daw.) — zaczynać. [przypis edytorski]

Tak dumając w oknie, jak zwykle, usiadł w dal patrząc.

Aż tu widzi — ptaków sznury całe do wieży jego z radosnym świergotem ciągną. Ale nie lecą dalej ptaki owe wieżę jego mijając, jeno pod nią się zatrzymują i w powietrzu jedne obok drugich się kładą, skrzydła szeroko rozpościerając. Patrzy książę Gotfryd — oczom wierzyć nie chce: Toć²⁴ ze skrzydeł ich kobierzec stubarwny się tworzy, czerwienią gilów, błękitem i zielenią sikorek, czernią jaskółek, żółtością wilg się mieniający, a srebrzystymi skrzydłami mew niby delikatną koronką bramowany²⁵...

Patrzy książę Gotfryd — oczom wierzyć nie chce, a kobierzec ten tuż pod oknem jego się kołysze, jakby go do lotu zapraszał...

Nie rozmyślał już więcej Gotfryd, jeno skrzypki do piersi swej przycisnąwszy wprost na skrzydła ptaków skoczył i uleciał.

Patrzy książę Gotfryd, a tu nad nim niebo bezkresne, a pod nim przestrzeń morza nie-

²⁴toć (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

²⁵bramować (daw.) — obszywać brzegi lamówką. [przypis edytorski]

zmierzona, a więzienie jego już ledwie w dali widać!

Zrozumiał tedy, iż wolny jest, i ręce przed siebie wyciągnąwszy wołać całą mocą piersi począł z radości, co mu jak wino do głowy szła i serce rozsadzała.

A gdy już ze szczęścia nieco ochłonął, na skrzydłach ptaków się położywszy, zaczął na skrzypkach swoich pieśń dziękczynną Bogu grać.

I popłynęła ta pieśń w górę, a taka była czysta, tak rozmodlona, taka srebrzysta i świetlista, że święty Piotr, furtian²⁶ niebieski, choć gwaru ziemskiego nie lubi i bramę niebios pilnie zamyka, roztworzył²⁷ ją na oścież, by mogła wzlecieć jak ptak, prosto przed tron Pana.

A święty Michał, wódz archanielskich zastępów, który w złotej zbroi straż niebieskiego kasztelu²⁸ czyni, ostrożnie miecz swój długi, o tęczowe mury z diamentu dzwoniący, w górę uniósł, by hałasu najmniejszego nie czynić.

²⁶*furtian* — tu: odźwierny. [przypis edytorski]

²⁷*roztworzyć* (daw.) — otworzyć. [przypis edytorski]

²⁸*kasztel* (daw.) — zamek warowny, twierdza. [przypis edytorski]

I przestały śpiewać chóry anielskie i z zapartym tchem jej słuchały...

I święta Cecylia²⁹ jej słuchała w podziwieniu i zdumieniu wielkim, bo i ona grać by piękniej nie umiała...

I Chrystus, co w zamyśleniu po ogrodzie rajskim wśród lilii białych chodził, zatrzymał się i swe święte, zadumane oczy na ziemię zwrócił, grajka, co tak się modlił, szukając.

A gdy spojrzenie jego na ów ptaków korowód, co Gotfryda niósł, padło, to zdziwiły się ptaki, że nie tylko ciężaru chłopca nie czują, ale i zmęczenia żadnego.

Tymczasem zapłonęła i zgasła nad morzem luna zachodu, pociemniało niebo i jedna po drugiej wschodzić poczęły gwiazdy.

Patrzył Gotfryd w niebo tysiącem srebrnych światel roziskrzzone i zdawało mu się, że to spoglądają na niego oczy aniołów, a jeden z nich, matka jego, delikatną, przesłodką dłoń na oczach mu kładzie.

²⁹święta Cecylia — święta Kościoła katolickiego i prawosławnego, żyjąca w III w. w Rzymie; patronka muzyków. [przypis edytorski]

Zasnął tedy księżę Gotfryd na skrzydłach ptaków, między niebem a morzem kołysany.

W OBCYM KRAJU NIE W JEDWABIACH I AKSAMITACH, LECZ W PŁÓTNIE ZGRZEBNYM ZA OWCAMI CHODZIĆ BĘDZIE...

O księciu Gotfrydzie opowieść trzecia

Kiedy nazajutrz zbudził się Gotfryd, to złoty świt rozproszył już ciemności. Przetarł oczy, rozgląda się — nie ma ani ptaków, ani morza.

Wkoło góry błękitne o śnieżnych szczytach, a on sam w dolinie na murawie miękkiej leży. Porwał się Gotfryd, w górę spogląda, a tu jeszcze ostatnie sznury znikających ptaków widać. Mewy to były właśnie i skrzydła ich białe wschód różaną i złotą barwą malował. Pojął tedy, że ptaki go śpiącego tutaj złożyły, a same dalej poleciały. Smutno się jakoś i nieswojo Gotfryd poczuł. Dokąd iść? Dokąd wędrować?

Jakże sobie dać samemu radę w szerokim obcym świecie?

Podjął Gotfryd z ziemi skrzypki, które obok niego ptaki złożyły, i uśmiechnął się smutnie.

Ot — pomyślał — jedyny przyjaciel wierny i obrona moja.

Przesunął pieśczośliwie po strunach — zapłakały skrzypki i nuż się skarżyć a jęczeć, a zawodzić...

Popłynęła piosenka rzewna, powtórzyły ją echem góry od łąki do łąki, od doliny do doliny.

Usłyszeli ją pastuszkowie, co kozy wesołe i płochliwe i krowy poważne a stateczne, dzwonkami pobrzękujące, i owieczki bielutkie paśli.

Usłyszeli ją pastuszkowie i powiada jeden do drugiego:

— A cóż to za grajek taki po górach chodzi i tak gra, aż serce w piersiach płacze? Chodźmy zobaczyć i posłuchać!

I poszli w stronę, skąd dochodził głos piosenki, kijami długimi kozy wesołe a płochliwe

i krowy poważne a stateczne, dzwoneczkami pobrzękujące, i owieczki bielutkie przed sobą pędząc.

Obudził się z zadumy stary baca³⁰, co może ze sto już miał lat, a był pastuszków opiekunem i naczelnikiem, gdy na lato w góry z bydłem wychodzili.

Słucha, słucha i tak go ta piosenka za serce chwyciła, że choć mało kiedy z szałasów swego wychodził, za pastuszkami się powlókł.

Przyszli więc do doliny owej, skąd ich dźwięki pieśni dochodziły. Widzą — chłopię małe, jak anioł piękne, o oczach jak gwiazdy szafirowe, stoi i na skrzypkach wygrywa. Otoczyli go kołem i słuchają.

A tak ich ten smutek z piosenki wiejący rozbiera, tak im do serca idzie, że jaki taki łyżką rękawem koszuli ociera.

I krowy, i owce posmutniałe stoją, i kozy nawet o figlach nie myślą. A każdemu się co innego przypomina. Jednemu, że mu siostrzyczka maleńka na wiosnę umarła, innemu,

³⁰*baca* — starszy pasterz owiec. [przypis edytorski]

że w chacie chleba nie ma, innemu jeszcze, że kozucha na zimę pewnie nie dostanie, a jeszcze innemu, że pawie pióro od czapki zgubił.

A znowu krowie się jednej przypomniało, jak to jej cielątko zabrali, a owcy, jak się w górach zabłąkała i mało jej wilk nie porwał, a kowie, jak się do ogrodu z kapustą zakradła i jak ją pastuch kijem wybił...

A stary owczarz znowu wspomniął sobie, że żonę dawno pochował, synowie w świat powędrowali, a on sam jak kołek na świecie ostał i nie będzie mu miał kto oczu zamknąć, gdy umierać przyjdzie... Wiadomo — każdy ma swoje smutki i kłopoty.

A tymczasem w sercu Gotfryda jakaś radość i nadzieja budzić się poczęły. Cóż u licha! Czy to on mazgaj jaki, żeby się świata dalekiego bał? I czegoż właściwie te skrzypce tak płaczą a zawodzą? Czyż nie powinny się raczej radować, że niebo takie jasne, łąki takie zielone, strumienie srebrzyste, a on sam wolny... hej, wolny!...

I jak nie utnie smyczkiem!

Hej, to ci muzyczka zadźwięczała! A siarczysta, a zawrotna, a weselna, a skoczna! Hej! Miły Boże!

Zapomnieli wszyscy o tym, co im dolega!

Zatupali nogami pastuszkowie i jak w tanciec nie pójdą!... A za nimi jak nie skoczą kozy i owce, a nawet krowy — choć powoli i z godnością...

Wziął się pod boki stary owczarz — nie taki on znowu stary, jak się to wydaje — jeszcze zdrowy, jeszcze krzepki³¹, jeszcze lepiej niż niejeden młody poskakać może! Hu! Ha!

A skrzypki coraz to zawrotniej, weselej, siarczyściej ucinają.

Tańczą już teraz i ptaki w powietrzu, i ryby w wodzie, i obłoki na niebie, a drzewa niemal ze skóry nie wyskoczą, że to niby nóg nie mają i tańczyć nie mogą...

Krzyknął owczarz Gotfrydowi:

— Przestań, na miłość boską, chłopcze, bo jak dalej grać będziesz, to góry z posad ruszą i tańczyć pójdą!

³¹krzepki — mocny. [przypis edytorski]

Roześmiał się Gotfryd, smyczek rzucił, a stary pastuch się tak do niego ozwie:

— Grajku miły! Należałoby cię za tę muzykę kołaczami³² białymi, miodem i winem ugościć, ale cóż, kiedy ni kołaczy, ni miodu, ni wi-
na nie mamy. Jeśli jednak chlebem czarnym, mlekiem i serem nie pogardzisz, to chodź z nami!

Poszedł Gotfryd chętnie i ochoczo, bo dopiero teraz poczuł, że głodny i spragniony jest wielce.

Usadzili go pastuszkowie pod drzewem cieni-
nistym, w kubku glinianym mleka podali i na liściu paproci poziomek, co je właśnie uzbiera-
li, baca zaś chleba i sera mu przyniósł.

Radzi byli pastuszkowie gościowi swemu i ciekawi, skąd i dokąd wędruje i co zacz jest, ale stary owczarz nie pozwolił Gotfryda o nic rozpytywać.

— Nie godzi się — rzekł — wędrownikowi się naprzykrzać, póki nie odpoczął i nie nasycił głodu i pragnienia.

³²kołacz — świąteczny placek pszenny o kształcie koła. [przypis edytorski]

Dopiero gdy Gotfryd się posilił, zagadnął go owczarz:

— Skąd jesteś, grajku miły, i dokąd idziesz?

— Z dalekiego jestem kraju, zza morza — odpowie na to młody książę — a idę, gdzie oczy poniosą.

— Grajku miły — zapyta owczarz zdziwiony — a nie idziesz do krewnych lub przyjaciół?

— Odumarli mnie — odpowie Gotfryd — rodzice, nie mam krewnych ni przyjaciół. Idę, gdzie mnie oczy poniosą!

Zamyślił się owczarz i tak się ozwał:

— Nie zostałbyś to, chłopcze, z nami? Będziesz nam na skrzypkach grywał, a my się z tobą wszystkim, co sami mamy, dzielić będziemy.

A pastuszkowie nuż go prosić i zachęcać:

— Fujarki cię z wierzby kręcić nauczymy, do boru na jagody i grzyby zabierzemy, chodaki³³ ci lipowe zrobimy, najpiękniejsze owce ze stada do pasienia damy!...

³³*chodak* (daw.) — prymitywny but, przeważnie drewniany. [przypis edytorski]

I został Gotfryd z nimi, a nie żałował tego.

Wesołe bowiem było życie w górach, choć często i chłodno, i głodno bywało. Nauczył się wkrótce Gotfryd po drzewach i skałach piąć, przez pieniające się górskie potoki skakać, ogniska rozkładać, zaginione owce po śladach odnajdywać, o świcie się zrywać, ze wzejściem gwiazd na pościeli z liści usypiać.

Kochali go bardzo pastuszkowie dla serca jego dobrego i piosenek precudnych i czy to przy zabawie, czy przy posiłku zawsze mu pierwsze chcieli ustępować miejsce. Ale Gotfryd zawsze się na bok usuwał, nigdy nad innych nie wynosząc się.

Miłował go także wielce stary owczarz, ale że to nie z jednego pieca chleb jadł, więc kiedy chłopcy czasem rozpowiadali, jak to, gdy będą dorośli, wilki wytępią, by owiec nie porywały, albo jak to gospodarzami zostaną i rolę orać będą, uśmiechał się i głową trząsał. Nie mógł on zapomnieć zdarzenia jednego, które w rok

potem, gdy Gotfryd w góry przywędrował, zaśło i wielkim wszystkich dziwem³⁴ napełniło.

A było to tak: Przypędzili raz pachółkowie z pobliskiego zamku stado koni do wody. A był pomiędzy nimi rumak jeden tak piękny, że chyba jeszcze ludzkie oko drugiego takiego nie widziało. Grzywa lśniąca jak srebro, a miękka jak jedwab, oczy płonące a dumne, chrapy delikatne a latające, nogi wysmukłe, no, jednym słowem — cudo! Gotfryd, gdy tego konia zobaczył, oczu od niego oderwać nie mógł i wraz³⁵ pachółków prosić zaczął, żeby mu się na nim przejechać pozwolili.

Roześmieli się pachółkowie i powiadają:

— Konia tego nikt dosiąść nie może. Dwunastu rycerzy go ujeździć próbowało i każdy był zadowolony, jeśli kości całe wyniósł. Diabeł to jakiś, a nie koń. Nasz pan to go raz ze złości i desperacji wielkiej omal nie zabił. Żal mu się go tylko zrobiło, że taki ładny.

³⁴*dziw* (daw.) — tu: zdziwienie. [przypis edytorski]

³⁵*wraz* (daw.) — tu: zaraz, natychmiast. [przypis edytorski]

Tak prawią pacholankowie, a Gotfryd słuchać nie słucha, tylko wciąż w konia jak w tęczę patrzy. Oczy mu jak młodemu żbikowi błyszczą, nozdrza się rozdymają, a na twarzy się to biały, to purpurowy robi. I nagle, jak nie rzuci się do konia, jak nie skoczy mu na grzbiet, nim pacholankowie i pastuszkowie krzyknąć zdołali!

Rzucił się w tak szalony galop koń, że tylko mignął Gotfryd przed ich oczyma, gdy w błyskawicznym pędzie wokół łąki przejeżdżał. Zarzył się tylnymi kopytami w ziemię i dęba stanął.

Wszyscy zamknęli oczy, bo już się im zdawało, że Gotfryd z roztrzaskaną głową na ziemi leży, ale aż oniemieli ze zdumienia, gdy po chwili ujrzeli, że chłopiec prosto i spokojnie, oklep³⁶ i bez strzemion na wściekłym koniu siedzi i ani drgnie.

Sam się rumak tym zdziwiony wydawał, bo chwilę spokojnie bez ruchu stał, a potem gniew go widać ogarnął, bo jak nie zacznie najbliższe harce wyprawiać! I w prawo, i w lewo, i na-

³⁶oklep a. na oklep — bez siodła. [przypis edytorski]

przód, i w tył się rzuca, dęba staje, pędzi jak opętany, wprost na skały, z potępieńczym jękiem, do rżenia niepodobnym, na ziemię się rzuca, białą pianę z pyska toczy — daremnie: Gotfryd spokojny i zimny, prosty jak strzała, na jego grzbiecie siedzi i nawet się rękami grzywy nie chwyci.

Zmęczył się wreszcie koń i rwać się przestał, a wówczas Gotfryd łaskę na nim trzy razy dookoła objechał, lekko na ziemię zeskoczył i jak gdyby nigdy nic po skrzypki do szałasów poszedł, bo był już dawno nową piosenkę pacholkom obiecał.

Pokiwał głową stary owczarz i rzekł:

— Oj, niedługo będzie on tu z nami bydło pasał! Na rycerza jest wielkiego, jakiego jeszcze na świecie nie było, przeznaczony!

I łzy mu się w oczach zakręciły, bo sam nie wiedział, jak będzie bez Gotfryda i jego piosenek żyć.

A piosenki Gotfryda coraz większą sobie sławę zdobywały.

Z najdalszych wsi gospodarze słuchać przychodzili, Gotfryda do siebie na zimę, kiedy pastuszkowie w doliny wróca, zapraszając. Przychodzili go słuchać i rycerze z okolicznych zamków i na dwory go swoje chcieli zabierać, ale Gotfryd z pastuszkami się rozstać nie chciał. Żył więc po dawnemu, latem w górach, zimą w chatach rolników.

A tak się cały lud górski w pieśniach jego rozmiłował, że się żadne wesele ani chrzciny obyć bez niego nie mogły.

ZWABIONY PRZEZ ELFY, NIEBEZPIECZEŃSTWA WIELKIEGO DZIĘKI CUDOWNEJ MOCY SWYCH PIEŚNI UNIKNIE...

O księciu Gotfrydzie opowieść czwarta

Wśród stada, które Gotfryd wraz z pastuszkami pasał, była kózka, którą sobie szczególnie upodobał i do której przywiązał się wielce.

Śliczne to było zwierzątko! Sierść miało długą i białą jak mleko, oczki czarne, bystre i wesołe. Zawsze w płasach, zawsze w skokach, nieraz pastuszków figlami swymi uciesznymi rozweselała, ale i kłopotu było z nią co niemiara, bo często się od stada odłączała i trzeba jej było długo po skałach i zaroślach szukać. Aż razu pewnego jak znikła, tak i ślad za nią przepadł. Szukali jej pastuszkowie dzień, szukali drugi i trzeci, aż wreszcie przestali.

— Widać — powiadają — wilcy ją zjedli, daremny trud i zachody.

Ale raz nocy jednej, bardzo jasnej i miesięcznej³⁷, jak to często w lipcu bywa, budzi się Gotfryd, który między innymi pastuszkami przy ognisku spał, i słyszy coś niby daleki dźwięk dzwoneczka. Uniósł się na rękach. Słucha... Ani chybi — to kózka musi być w pobliżu! Jej to dzwoneczek, od wszystkich w stadzie inny, co go jej baca na jarmarku zeszłego tygodnia kupił, wyraźnie gdzieś niedaleko słychać!

³⁷*miesięczny* — tu: księżycowy. [przypis edytorski]

Zerwał się więc i nikogo nie budząc, w stronę, skąd go ów dzwonek dochodził, pobiegł.

Ale choć mu się przed chwilą zdawało, że nie dalej jak o kilkanaście kroków go słyszy, to teraz, gdy polanę, gdzie spali towarzysze, minął, w zarośla się zagłębiając, zmiarkował³⁸, że dzwoneczek ów gdzieś aż w głębi lasu dźwięczy. Pobiegł tedy za jego głosem, ale i kózka widać głębiej w zarośla się zaszyła, bo coraz dalej go słysząc.

— Wesoła! Wesoła! — jął³⁹ ją tedy nawoływać, bo zwierzątko było nad podziw łaskawe i zwykle zaraz do niego przybiegało.

Ale — gdzie tam! Dzwoneczek wciąż dalej i dalej się odzywa, ledwie za nim Gotfryd podążać może.

Zmęczył się wreszcie tak, że zatrzymać się musiał, by tchu zaczerpnąć. I koza zatrzymała się widać również, bo nie dalej niż o kilka kroków usłyszał ją nagle Gotfryd.

³⁸miarkować (daw.) — domyślać się, wnioskować. [przypis edytorski]

³⁹jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]

Nie, nie o kilka kroków! O krok najwyżej! Wystarczy jeden skok, a będzie tuż przy niej!

Skoczył — kozy ani śladu, a dzwoneczek znowu gdzieś dalej się odzywa. Zgniewało go to tak, że aż nogą o ziemię tupnął, a tu go z zarośli cichy śmiech dolatuje. Zupełnie, jakby ktoś przedrwiwał sobie z niego. Zdumiał się Gotfryd: Czy to jakieś leśne lichy żarty sobie z niego stroi?

Nieswojo mu się jakoś zrobiło, że to drzewa takie wielkie i czarne w bladym świetle miesięcznym stoją, że to cisza taka i pustka dokoła, a dziwne cienie pełzną między gałęziami...

Może lepiej wracać? Może to nie koza, a duch jakiś leśny ku sobie go wabi?

Ale toć najwyraźniej dzwoneczek jej sły-
szy, a teraz to znowu jakby beczenie dolatywało do niego. Wstyd byłoby stchórzyć i zwierzątko na pastwę wilków w lesie zostawić. Minął więc Gotfryd rzednące drzewa i wybiegł na niewielką polanę.

Kie lichy! Kozy ani śladu, a śmiech ów znowu się rozlega, tylko głośniejszy i bliższy jesz-

cze. Rozgląda się, aż tu otoczy go nagle gromada małych człowieczków, ze skrzydłami motyli u ramion, w spiczastych czerwonych czapczkach na głowie. I tańczą wokoło niego, i cieszą się, i radują, aż się po lesie rozlega.

Przypomniawszy sobie Gotfryd, jak to raz stary baca opowiadał, że elfy w księżycowe noce pastuszków do siebie zwabiają, dzwoneczki zaginionych owiec naśladują, a później tańczyć im ze sobą do rana każą. Że zaś tańczyć mogą elfy bez chwili wytchnienia, a wytłumaczyć im niepodobna, że się jest zmęczonym, bo i same nie wiedzą, co to zmęczenie, i drugiemu spocząć nie dadzą, więc najczęściej takiego nieszczęsnego pastuszka martwego nad ranem znajdują.

Źle ze mną! — myśli Gotfryd. — Trzeba iść po rozum do głowy, bo zginę.

I pokłoniwszy się pięknie elfom, powiada:
— Leśne ludki! Widzę, że chcecie ze mną tańczyć, ale prawdę powiedziawszy lepszy ze mnie grajek niż tancerz. Czy nie lepiej byłoby tedy,

bym, miast z wami tańczyć, do tańca wam zagrał?

I skrzypki, które zawsze ze sobą nosił, z torby dobył.

Uradowały się bardzo elfy, muzykę bowiem miłują nade wszystko, a każdy rozumie, że co innego skrzypce, a co innego żabia kapela, którą zwykle zadowalać się muszą.

Zaraz też na to przystały, a Gotfryd tak im skocznie i ochoczo wygrywać począł, jak to on jeden potrafił.

Przyszły go słuchać nie tylko elfy, ale i błędne ogniki, leśne panny, i wszystek lud borowy.

Zaglądają przez gałązki sarenki i płochliwe zajaczki.

Wypęłza z trawy zielona jaszczurka, ogonkiem kręci, czarne oczka figlarnie mruży i do ślimaka powiada:

— Może by i kum⁴⁰ w tan się puścił?

A ślimak, choć z natury poważny i powolny, wysadził ciekawie główkę ze skorupy i różkami wesoło rusza...

⁴⁰kum — tu: przyjaciel, towarzysz. [przypis edytorski]

Tańczą i hulają, a wciąż o nowe piosenki proszą. Zagrał im Gotfryd jedną, drugą, trzecią i czwartą i całemu się zgromadzeniu pokłoniwszy, na polanę, gdzie towarzyszy zostawił, chce wracać. Ale ci ani myślą go puszcząć, wciąż o nowe piosenki nagabując.

Oj, źle! — myśli Gotfryd. — Zamęczą mnie oni graniem, jak innych tańcem zamęczyli. Trzeba znowu użyć fortelu, bo inaczej do rana mnie stąd nie puszczą, a ledwie mi już smyczek po strunach chodzi.

Począł im tedy grać piosenkę-kołysankę. A od tej piosenki cały ów borowy luddek zrobił się taki senny, że każdy, gdzie mógł, kładł się i zasypiał. Nawet sowy i puszczyki, i ćmy nocne posnęły, choć wiadomo, że to naród do snu nocnego niezwyčajny. Tylko elfy uśpić się jeszcze nie dają, choć w takt piosenki Gotfryda coraz to wolniej i wolniej krążą.

Gdy im jednak Gotfryd jął przygrywać, że to w kielichach kwiatów są wonne łózcza, że to tak dobrze i miło wyciągnąć się na mięciutkich pierzynkach z puchu dmuchawców, gdy

wiatr lekko a pieściwie do snu kołysze — to i je sen zmógł wreszcie.

Powrócił tedy Gotfryd do pastuszków, rad, że mu się szczęśliwie z tej opresji⁴¹ ująć udało.

Bardzo się towarzysze tej jego przygodzie, gdy ją im nad ranem opowiedział, dziwowali.

A więcej jeszcze dziwował się stary baca.

A najwięcej dziwowałem się ja sam, Johannes Sarabandus, gdy mi ją wiele lat potem tenże baca opowiedział. Wiem bowiem z ksiązek czarnoksięskich, że elfy to ludek złośliwy, naprzykrzony i do podejścia niełatwy. I dziwo-
wałbym się pewnie mocy, którą miała w sobie pieśń tego pacholęcia⁴², jeszcze bardziej i dłużej, gdyby mi stary ten pasterz nie opowiedział o nim historii daleko dziwniejszej, którą zaraz, szlachetni panowie, usłyszycie.

⁴¹*opresja* — trudne położenie, kłopotliwa sytuacja. [przypis edytorski]

⁴²*pacholę* (daw.) — chłopiec. [przypis edytorski]

GÓRALI I PASTUSZKÓW OD OKRUT- NEGO WILKOŁAKA I WIEDZYM UWOL- NI...

O księciu Gotfrydzie opowieść piąta

W niedługi jakoś czas potem, gdy owa koza, pastuszków ulubienica, zginęła, a Gotfryd się przez nią w przygodę z elfami wplątał, zabłąkały się znowu dwie inne kozy, potem baran i cztery owce, a wreszcie krowa wielka i mleczna, całego stada chluba i ozdoba.

Gryzł się bardzo tą stratą stary baca, a zwłaszcza owej krowy odżałować nie mógł, i gniewał się na pastuszków, że to im tylko figle w głowie i że powierzonych im bydlatek upilnować nie umieją. Gdy jednak wkrótce po owej krowie przepadł bez śladu byk, tak mocny i nieustępliwy, że każdemu wilkowi dałby radę, pokiwał smutnie głową i rzekł:

— Oj, chłopcy, chłopcy! Nieczysta to jakaś siła, a nie wilki! Dopóki kozy i owce gi-

neły, myślałem, że waszego nadzoru to wina, bo wiadomo, że stworzenia to głupie, płocze i żadnego zastanowienia we łbie niemające, to im się jaka przygoda łatwo przytrafić może i strzec ich od niej pilnie trzeba. Ale z krową to już całkiem inna sprawa! I to z jaką krową jeszcze?! Spokojną, stateczną, do samotnych harców i figli wcale nie skłonną! Przekładałem sobie jednak, że taka krowa spłoszyć się przecie może i od stada odbiec, a o nieszczęście w borze nie-trudno. Ale byk! Toż on wilka, a nie wilk jego by położył!

Nie skończył jeszcze mówić, a tu przybiegają pasterze z sąsiedniej hali i dopytywać się poczynają, czy też nie widziano dwóch krów z ich stada.

— Jedna, powiadają — czarna, druga — łaciata.

Zaraz też skargi i żale wywodzić poczęli, że rady sobie ostatnimi czasy dać nie mogą, tak im bydło spod ręki ginie. I żeby tylko bydło. Ale jak wczoraj dwóch pasterzy poszło w las owiec szukać, tak dotychczas nie wrócili.

— Byli też u nas — powiadają — gospodarze z pobliskich wsi o dzieci się pytać. Na jagody pono poszły i przepadły. Ale, co dziwniejsza, przybiegła wczoraj pod wieczór na naszą halę żona Jana Celnego, który jest, jak wiadomo, pierwszy strzelec na okolicę, i z płaczem nam odpowiadała, że trzy dni temu na kozicę się wybrał i dotychczas go w chałupie nie ma. Ani chybi, jakieś ogromne wilcze gromady aż hen z drugiej strony gór przywlec się tu musiały, wygłodniałe i bardzo zuchwałe!

Słuchał w posępnym milczeniu tych opowiadań stary baca, a potem w te ozwał się słowa:

— Oj, nie wilki to, nie wilki po okolicy grasują, ale wilkołak się włóczy ze swoją diabelską kompanią. Wyginiemy wszyscy marnie, my i nasze stada!

Strach padł wielki na pasterzy. Umilkli wszyscy, jeden na drugiego z bojaźnią spoglądając. Gotfryd jednak nie strwożył się wcale i z ciekawością jął rozpytywać, kto to jest ten wilkołak

i jego kompania, że się go wszyscy tak lękają. Ale stary baca tak mu odparł:

— Niedobrze jest o tym rozpowiadać. Pustymi gawędami niczemu się nie zaradzi, a nie-szczęście łatwo ściągnąć można. Ostrożni bądźcie! Nigdzie się nie rozbiegajcie, a może, da Bóg, jakoś przebijemy, bo złe licho gromady nie lubi.

Ustuchali go pastuszkowie i żaden nie śmiał już od towarzyszy się oddalać, by malin lub grzybków szukać, a w nocy to się jeden do drugiego tulili jak te owieczki spłoszone.

Umilkł śmiech i wesołe gawędy, smutek i strach zapanowały w gromadzie. Jeden Gotfryd tylko ducha nie tracił i piosenkami swymi serca towarzyszy krzepił.

Ale minęło dni kilka w spokoju zupełnym i otucha⁴³ wstąpiła w serca pastuszków. Może złe minęło i nie wróci więcej? Jaki taki odważył się znowu od towarzyszy oddalać, to, by kozę zapędzić, to, by drzewo dobre na piszczalki wyszukać.

⁴³*otucha* — nadzieja. [przypis edytorski]

Złe nie spało jednak, a przyczaiło się tylko, by czujność pastuszków oszukać. I oto pewnego dnia zginął bez śladu Jasiek, zwany Bezdomnym, że to sierotą był i nikogo na świecie nie miał. Gotfryda to był druh⁴⁴ najserdeczniejszy. Przerazenie ogarnęło wszystkich, a Gotfryd mimo zakazu bacy długo towarzysza miłego samotnie szukał, bardzo po nim płacząc i smucąc się. Gdy zaś bez niego do obozu powrócił, zemstę potworowi i walkę śmiertelną w duszy poprzysiągł. Nic on o tym nikomu nie mówił, ale wciąż przemyślał, jak by wilkołaka odnaleźć.

Jakoż sposobność miała mu się wkrótce nadarzyć.

Przybył pewnego dnia na halę gospodarz z dalekiej górskiej wsi i, bacy się pokłoniwszy, powiedział, że o grajku wielkim, co wśród jego pasterzy przebywa, zasłyszawszy, umyślnie tu przywędrował, by go na wesele prosić. Nie zdziwiła ta prośba ani bacy, ani jego pasterzy, gdyż, jak to już mówiłem, sława Gotfrydowych

⁴⁴*druh* — tu: towarzysz, przyjaciel. [przypis edytorski]

piosenek tak się po całej okolicy rozeszła, że żadne się wesele ani chrzciny obejść bez niego nie mogły.

Pysznił się⁴⁵ też wielce stary baca, że wśród swoich pasterzy takiego ma grajka, i rad Gotfrydowi swe przyzwolenie dawał. Ten jednak gospodarz nie widział mu się jakoś: obrośnięty jak wilk, cały w skóry odziany, oczyma ni-by zwierz dziki błyskał, uśmiechając się chytrze a złośliwie.

Nie chciało mu się Gotfryda z nim puszczać, więc na stronę go odciągawszy tak powiada:

— Nie wiem, co on za jeden, ten przybysz, ale źle mu z oczu patrzy, a czasy są niepewne. Od dziada zaś mego słyszałem jeszcze, że wilkołak ludzką postać czasem przybrać może, by tym łatwiej figla jakiegoś niecnego wypłatać. Nierad bym cię też widział w góry i lasy dzikie z tym obcym odchodzącego, a przykro mi odmówić jego prośbie, boć człek to może być

⁴⁵*pysznić się* — chwalić się, wynosić się nad innych. [przypis edytorski]

najpocziwszy, a jak sam powiada, z daleka tu przywędrował.

Uradował się Gotfryd te słowa usłyszawszy i myśli:

Bóg by dał, żeby wilkołak to był, a nie wieśniak z gór dalekich. Nie wiem jeszcze, co uczynię, ale to jedno wiem, że mu jego diabelskie sztuki na sucho nie ujdą!

Głośno zaś tak do bacy rzekł:

— Opowiadał i mnie stary góral, co na hałę po mleko i sery przychodził, jak to się czasem wilkołaki w ludzkiej postaci włóczą. Mówił mi jednak także, że niedobrze się w ludzkiej skórze czują i łatwo ich po tym poznać można, że, by ulżyć sobie nieco, niby suknię niewygodną, często ją zrzucają, to ślepiem krwawym, to pazurem wilczym błyskając. Ten jednak nie czyni tego. A przy tym, na cóż by aż ludzką postać przybierał, by mnie, pastuszka małego, zwabiać? Czyż nie mógłby, gdyby jeno chciał, porwać mnie po prostu i zgładzić, jako z Jaśkiem Bezdomnym uczynił? Wieśniak to zwykły, jeno zarośnięty i źle odziany, jak to cza-

sem wieśniacy z dzikich górskich okolic bywają. Nie godzi się, myślę, takimi podejrzeniami go krzywdzić i prośbie jego odmawiać.

— Idź z nim tedy, jeśli taka twoja wola — rzekł baca — nie będę ci się sprzeciwiał, choć niepokój mnie jakiś trapi.

Wziął więc Gotfryd swe skrzypki i z nieznanym, bacę i pastuszków pożegnawszy, wyruszył.

Nie uszli jeszcze wiele drogi, aliści⁴⁶ ów przybył tak do Gotfryda powiada:

— Strasznie dziś słońko dopieka. Muszę czapkę i kozuch zdjąć. — Zdjął czapkę, a tu spod niej nie włosy, ale coś jakby sierść wilczą widać...

Zdjął kozuch, koszula mu się na piersiach rozchełstała, a ciało miał jak u zwierza włosem obrosłe...

Otarł sobie ręką spocone czoło, a ręka jakby nagle w łapę zwierzęcą z pazurami drapieżnymi się zmieniła...

⁴⁶*aliści* (daw.) — spójnik wyrażający przeciwieństwo. [przypis edytorski]

Ehe... — myśli Gotfryd, ale ni słowa nie rzekł.

Idą dalej, a tu towarzysz Gotfryda znowu skarżyć się pocznie, że mu cizmy⁴⁷ bardzo dolegają.

— Zrzućcie je, gospodarzu — mówi Gotfryd — to wam lżej będzie.

A tamten na to:

— Zrzuciłbym ci je chętnie, cóż kiedy się boję, że się przestraszysz nogi moje ujrzawszy.

— Czegóż bym miał się przestraszyć? — zapytał Gotfryd zdziwienie wielkie udając.

— E, bo... nie mam ja takich nóg, do jakich przywykłeś!

— A cóż to — rzekł Gotfryd ramionami wzruszając — kopyta macie na nogach czy jak?

— Kopyta nie kopyta... Ale ciągle po górach chodząc takie sobie odciski i guzy porobiłem, że jak kopyta wyglądają...

— Wiem ja dobrze, jak to czasem skóra od ciężkiej pracy i ciągłego krzątania się twardnieje — odpowie mu na to Gotfryd — a strwożyć

⁴⁷*cizma* — but z miękkiej skóry, o wydłużonym czubie. [przypis edytorski]

mnie byle czym nie można. Mój dziadek to takie odciski na rękach i na nogach miał, że je do dwóch pni sękatych podobnymi czyniły. Czemuż by wasze do kopyt podobne być nie miały? Rozzujcie się⁴⁸ tedy nie troszcząc się o nic.

Uradował się wielce nieznajomy.

— Roztropne z ciebie chłopię! — powiada.

I na kamieniu usiadłszy zdjął ciżmy. A u nóg to nie miał wcale palców, jeno końskie kopyta, zwyczajne jak u diabelskiego ludu, ale takie ogromne, że aż się Gotfryd zadziwił.

Niczego jednak po sobie nie pokazał, a nawet uśmiechnął się i rzekł:

— Et, baba z was, gospodarzu! Mój dziadek większe sobie guzy ponabijał, a nie stękał tak jak wy!

Tak prawił, ale gniew w nim wielki wzbierał, a wściekłość aż go dusiła, bo już wiedział teraz na pewno, co to za gospodarz. I byłby pewnie wilkołakowi do gardła skoczył i marnie zginął, ale w czas Jaśka Bezdomnego wspomniał i pomyślał: Nie, towarzyszu miły! Nie

⁴⁸rozzuć się (daw.) — zdjąć buty. [przypis edytorski]

będziesz ty niepomszczony! I nie będzie ten potwór okrutny więcej szkody ludziom czynił! Nie dam się zgładzić bezużytecznie! Poczekam sposobnej chwili, gniew na wodzy trzymając, aż dokonam tego, com zamierzył!

Szli tedy dalej cały dzień i całą noc, aż wreszcie do sadyby⁴⁹ diabelskiej dotarli.

Stała zaś owa diabelska sadyba, gdzie wilkołak wraz ze swymi kumami, wiedźmami i zmo-rami mieszkał, wśród skał urwistych i nagich, w dolinie niewielkiej i dziwnie ponurej. Bardzo się Gotfryd zdrożył⁵⁰, zanim do niej dotarli, gdyż droga była ciężka, a wilkołak pozbywszy się cizm, które mu bardzo przeszkadzały, ile że był ludzkiego obuwia niezwyčajny, biegł tak prędko, że ledwie za nim Gotfryd mógł nadążyć. Kiedy się więc w dolinę ową spuścili, na kamieniu przysiadł i rzekł:

— Musicie mi, gospodarzu, nieco spocząć pozwolić!

⁴⁹sadyba (daw.) — osiedle, siedziba. [przypis edytorski]

⁵⁰zdrożyć się (daw.) — zmęczyć się. [przypis edytorski]

— Spocznij sobie — odparł wesoło wilkołak. — Choć dziwno mi, że się teraz dopiero znużony poczułeś, boć już stąd dachy chałup widać, a powiadają, że koń prędzej bieży zobaczywszy stajnię.

Usiedli tedy obaj, a Gotfryd ciekawie się dookoła rozgląda i wszystko, co zobaczy, w myśli pilnie waży.

Ale, prawdę powiedziawszy, niewiele tam było do zobaczenia: dolinka to była pusta, niczym nie porośla, a grunt jej czarny i twardy wielkie klepisko przypominał. Na samym jej końcu prawie leżało małe, ale głębokie jezioro, a za jezioro wznosił się pagórek, już do skał dolinę otaczających przytulony. Na tym to właśnie pagórku pobudował swoje chaty wilkołak i jego kompania.

— Co to za jezioro? — zapytał wilkołaka Gotfryd.

— To jezioro Jeziorem Topielców zwane — odparł wilkołak.

Zaraz też sobie Gotfryd przypomniał, że mu o tym jeziorze baba opowiadał: Od samego brze-

gu prawie zaczyna się w nim głębia, a tajemne jakieś wiry wciągają najlepszych pływaków. Nikt z niego żywy jeszcze nie uszedł.

— No, chodźmy już! — rzekł podnosząc się wilkołak.

— Szkoda czasu tracić. W chałupie lepiej niż tu odpoczniesz i posilisz się.

Okrążywszy tedy jezioro, na pagórek, gdzie owe diabelskie chaty stały, wchodzić poczęli. Nie różniły się one wiele od zwykłych chat chłopskich. Jeno okien w nich wcale nie było, a ściany niepobielone były wapnem, a poczernione smołą, jako że zły duch białej barwy nie lubi.

Każdą z chat otaczał, jak to zwykle na wsi, mały ogródek. Dziwne to jednak były ogródki. Miast słoneczników rosły w nich na wysokich łodygach głowy kocie, które przyglądały się uważnie przechodniom, mrużąc swe błyszczące, zielone oczy. Drzewa miały liście w kształcie rozcapierzonych, zakończonych drapieżnymi pazurami, palców ludzkich, które nieustannie kurczyły się i prostowały, a z boku, porządnie niby główki kapusty posadzone, ro-

sły brodate mordy czarnych kozłów. Ganki opłatało coś, co podobne było trochę do dzikiego wina. Gdy się jednak bliżej Gotfryd tej roślinie przyjrzał, spostrzegł, że jej pnące się łodygi poruszały się nieustannie niby kłębowisko zielonych węży, a kwiaty w kształcie długich, czerwonych języków chowały się i wysuwały znowu, mlaskając łakomie.

Inne chłopię omdlałoby pewnie z przerażenia ujrawszy taką zagrodę, ale Gotfryd nie wiedział, co to strach. Wstręt go tylko przęjał i obrzydzenie wielkie, ale ani drgnął nawet, wiedząc, że wilkołak baczenie mu się przygląda. Wreszcie potwór zatrzymał się przed jedną z chat i furtkę otworzywszy wszedł do ogródka. Tu przywitała ich jakaś jejmość⁵¹ chuda jak tyczka, z pękiem grubych, stojących do góry, włosów na głowie. Przygląda jej się Gotfryd, co za dziwadło takie, aliści widzi, że to nic innego, tylko zwyczajna miotła w spódnicę i kaftanik pięknie przyodziana.

⁵¹*jejmość* (daw.) — tytuł grzecznościowy używany wobec kobiet. [przypis edytorski]

— To służąca mojej narzeczonej — rzekł wilkołak. — Bardzo z niej pracowita i poczciwa dziewczyna.

A miotła nuż wdzięcznie dygać i krygować się⁵², i chichotać, fartuszkciem się, jak to zwykle wiejskie dziewczęta, wstydliwie zasłaniając.

— Nietoperze idę — powiada — napoić, bo już wieczór zapada i wnet się bydełko nasze obudzi.

Tymczasem wilkołak wchodził do izby, więc i Gotfryd za nim podążył.

Izba to była zupełnie ciemna, tylko na środku jej paliło się wielkie ognisko. W czerwonym jego świetle ujrzał Gotfryd siedzącą przy nim wiedźmę o twarzy żółtej jak cyrtyna, oczach jarzących się jak u kota, długim, haczykowatym nosie i jednym zielonym zębem, który jej ze szpetnej gęby aż na brodę wylaził.

Wilkołak pokazał jej zaraz Gotrfyda, że to grajek, którego na jutrzejsze wesele przypro-
wadził.

⁵²*krygować się* — przesadnie okazywać dobre maniery, wdzięczyć się nienaturalnie. [przypis edytorski]

— Pewnieście bardzo zdrożeni i głodni po tak dalekiej drodze — zaskrzeczała wiedźma głosem do skrzypienia niesmarowanych kół wielce podobnym — siadajcie więc i jedzcie, bo wieczerza gotowa.

I jęła wnet wyciągać jakieś garnki i garnuszki do czerepów⁵³ ludzkich i zwierzęcych podobne, a dymiącymi potrawami napełnione.

Ale Gotfrydowi nie chciało się wcale tych diabelskich potraw kosztować⁵⁴, toteż wymówiwszy się, że zmęczenie mu głód odebrało, w kącie izby się położył i udał, że zasypia.

W samej jednak rzeczy nie spał wcale, jeno przysłuchiwał się pilnie rozmowie wiedźmy i wilkołaka.

— Co ty sobie tyle zachodu z jednym pastuchem robisz? — powiada wiedźma do wilkołaka. — Nie mogłeś go to zwyczajnie porwać, tu przyprowadzić i do grania przymusić, zamiast się tak męczyć, w ludzką postać się przyoblekając?

⁵³czerep — czaszka. [przypis edytorski]

⁵⁴kosztować — tu: smakować, próbować smaku. [przypis edytorski]

— Żem się zmęczył, tom się zmęczył —
odpowie jej na to wilkołak, który resztki skó-
ry z siebie zrzuciwszy stał się nagle wielkim
wilczyskiem o błyszczących, czerwonych śle-
piach i końskich kopytach. — Uf! Ledwie od-
dycham! Nie mogłem jednak inaczej postąpić;
gdybym bowiem chłopaka porwał i tu przy-
wlókł do grania zmuszając, byłby on ledwie ży-
wy ze strachu i niewesoło by nam do tańca grał.
A przecież ma to być takie wesele, jakiego jesz-
cze nie widziano. Nie darmo wilkołak z wiedź-
mą się żeni.

Oj, sprawię ja wam wesele! — myśli Got-
fryd, ale dalej udaje, że śpi, pochrapuje nawet.

— Prawda i to — odezwie się znowu wiedź-
ma. — Mądrześ to obmyślił! Ale powiedz no,
co z nim później zrobić zamierzasz?

Roześmiał się wilkołak i swe ostre, białe kły
szczerząc odparł:

— Myślę, że pieczeń z grajka nie gorsza od
innej. Zje się go razem z tym pastuchem, com
go zeszłego tygodnia z ich hali porwał!

— Tuczę go ciągle, ale wciąż jeszcze chudy jak tyczka — skrzywiła się wiedźma.

Uradował się Gotrhyd wielce i myśli: Żyw jeszcze jesteś tedy, Janku, towarzyszu miły! Da Bóg, że cię wyswobodzę i cały a zdrów ze mną na halę powrócisz.

Tak myślał, był bowiem już sobie ułożył, jak zmory, czarownice i wilkołaka zgładzi i całą okolicę od tej plagi diabelskiej oswobodzi. A tymczasem słucha dalej, co wiedźma wilkołakowi szepce.

— Za głośno ze sobą mówimy. Chłopak gotów usłyszeć!

— E... — odpowie jej wilkołak — widzisz przecie, jak mocno śpi...

— Śpi albo i nie śpi... Może udaje tylko? Ale wilkołak roześmiał się.

— Nie taki on chytry! Nie domyśla się nawet, gdzie się znajduje. Strasznie to jakieś głupie chłopczysko!

Więcej nie słuchał już Gotfryd, gdyż wiedział wszystko, czego dowiedzieć się pragnął,

i postanowił wypocząć nieco. Zasnął tedy i przespał nie tylko tę noc, ale i cały niemal dzień następny, ile że znużony był bardzo i wyczerpany po trudach ciężkiej podróży. Obudziły go dopiero przygotowania, które wiedźma i wilkołak przy pomocy miotły do wesela czynili.

— Trzeba będzie wszystkie sprzęty z izby wynieść — powiada wiedźma — bo jak się roztańczy, to miejsca w niej będzie mało.

— Niewiele to pomoże! — westchnął wilkołak. — Izba mała, a gości dużo!

— Już ja bym wiedział, jak ściskowi zaradzić — odezwał się niespodzianie Gotfryd, który obudziwszy się uważnie tej rozmowy słuchał.

— Cóż byś nam tedy poradził? — zapytał go wilkołak.

— Jeśli chcecie mojej rady — rzekł Gotfryd — to nie tańczcie w izbie, a w dolinie nad jeziorem. Noc dziś będzie księżycowa, miejsca do płasów dużo, a że krzaków i kamieni tam nie ma, a grunt jest równy i twardy, to wam wygodniej niż w izbie będzie. Wy sobie w do-

linie po jednej stronie jeziora hasać będziecie, a ja po drugiej na wzniesieniu pagórka stanę i do tańca grać wam będę. Ze zaś góry wokoło, to echo moje piosenki po całej dolinie głośno i wyraźnie powtórzy.

— Jak mi diabeł miły! — krzyknie na to wilkołak, który coraz częściej zapominał, że ma wieśniaka udawać. — Jak mi diabeł miły, ma chłopak rację!

Ale wiedzma, że to zwyczajnie baba chytrzejsza jest od chłopca, więcej miała w sobie niż wilkołak przebiegłości. Tak więc do Gotfryda się odezwie:

— Z tą doliną toś mądrze poradził. Ale powiedz no, dlaczego to chcesz aż z drugiej strony jeziora nam grać, kiedy możesz przecie w dolinie między nami stanąć?

— Zaraz wam to wytłumaczę — odparł jej Gotfryd. — Słyszeliście pewnie, że gdy ja skocznie a do ucha wygrywać zacznę, to nikt i nic w miejscu ustać nie może i na nikogo nie zważając, póki tchu stanie, wyskakuje. Toteż, gdybym między wami stanął, tobyście mnie cią-

gle potracali, grać mi przeszkadzając. A przy tym chciałbym i ja na wasze pląsy popatrzeć, a z pagórka łatwiej mi to będzie uczynić, niż gdybym stał w ścisku, wśród gromady.

— Niech więc będzie tak, jak to ułożyłeś — zgodziła się wiedźma zbywszy podejrzenia. I zaraz pobiegła gości w dolinę prosić.

*

Oj! Było na co patrzeć i czemu się dziwo-
wać, jak się ci goście schodzić poczęli!

Nie brakowało tam ani wiedźm ohydnych, co jeno patrzą, jakby ludziom szkodzić, ani zmór i upiorzyc krwią się ludzką żywiących, ani latawic⁵⁵, co to we mgły i ciemne noce podróżnych po rozstajnych drogach wodzą. Noc była miesięczna i Gotfryd ze swego pagórka mógł dobrze widzieć, jak się to całe towarzystwo w pary do tańca ustawia, bardzo się weseląc, że to im taki grajek będzie grał. Zwykle bowiem na diabelskich weselach jeno wiatr poświstuje i ropuchy rechocą.

⁵⁵*latawica* (daw.) — czarownica unosząca się w powietrzu. [przypis edytorski]

No — myśli Gotfryd — ostatni to będzie z boską pomocą wasz taniec. — I pociągnął smyczkiem po strunach.

Hej! Rozległa się po całej dolinie taka taneczna i skoczna muzyka, że nie tylko zmory, wiedźmy i latawice z wilkołakiem na czele w płasy się puściły, ale z chat wybiegły miotły, które, jak wiadomo, czarownicom służą, i ze swoimi paniami w taniec poszły.

A coraz bardziej szaleńczy, coraz zawrotniejszy ów taniec się stawał, aż tchu brakło, aż iskry przed oczyma latać poczęły, a rozwaga opuściła głowy.

Wczepiły się wiedźmy pazurami jedna drugiej w rude kłaki — tańczą.

Wzięły się za ręce zmory i latawice i takie koła zataczają, wyjąc i gwizdząc z uciechy, że aż wiatr leci po całej dolinie, a nietoperze, dzikim wrzaskiem przestraszone, z dachów diabelskich chałup gromadami uciekają.

Pogubiły spódnice i kaftaniki miotły i tak na prawo i lewo wywijają, że jaka taka z wielkiego rozmachu swoją panią po łbie utnie!

A pośrodku tańczy sam wilkołak, kopytami przytupując, krwawymi ślepiami błyskając i kły ostre szczerząc. Hu! Ha!

Oj, niedługo będziesz ty się radował, diabelski synu! — myśli Gotfryd i mocniej jeszcze po strunach pociągnął.

— Naprzód! Naprzód! Do mnie! Do mnie! — zawołały skrzypki.

I całą ławą runęła przed siebie czartowska kompania w tę stronę, skąd ów głos taneczny wabił, niepomna na to, że dzieli ją od niego jezioro bezdenne.

Może ktoś z niej opamiętałby się i zatrzymał, ale roztańczony tłum porywał go ze sobą i unosił.

A skrzypki wołały wciąż z drugiego brzegu jeziora, coraz to głośniej, coraz to bardziej ochoczo:

— Naprzód! Naprzód! Do mnie! Do mnie! Hu! Ha!

Przed samą wodą zawahała się jakby gromada, ale muzyką upojona, resztę rozsądku tracąc, prosto w jezioro runęła.

Tak to uwolnił Gotfryd całą okolicę od wilkołaka, zmór, wiedźm i latawic, i całej jego diabelskiej kompanii. Odnalazł też w jednej z chat diabelskich Jaśka Bezdomnego, którego z wielu innyni pasterzami wilkołak tam więził i których od strasznej śmierci czynem swoim uratował.

Wielka radość zapanowała na wszystkich halach i w całej okolicy, a sława pieśni Gotfryda, które taką moc miały, że nawet siła czartowska oprzeć się im nie mogła, nie tylko już po górach, ale po kraju całym się rozeszła, aż dotarła na dwór królewski.

Panował zaś był właśnie podówczas król Zygmunt Wspaniały.

CÓRKĘ WIELKIEGO KRÓLA UZDROWI I NA DWORZE JEGO PAZIEM ZOSTANIE...

O księciu Gotfrydzie opowieść szósta

Wybiegli na głos trąb i rogów starzy i młodzi, niewiasty i dzieci, patrzą — a tu sam król miłościwy we sto koni do wsi jedzie. Jadą przodem heroldowie w szatach srebrzystych, a u złotych trąb trębaczy purpurowe wstęgi powiewają. A za trębaczami rycerze w zbrojach lśniących, a za rycerzami sanie w dwanaście par rumaków śnieżnych zaprzężone, a w saniach sam król miłościwy.

Zatrzymali się heroldowie, na cztery cztery strony świata zatrąbić kazali i rozkaz królewski obwołali⁵⁶:

— Niech wystąpi przed oblicze królewskie grajek wioskowy, Gotfrydem zwany!

Wysunął się z tłumu Gotfryd, zmieszany i onieśmielony bardzo, i przed królem stanął.

— Tyżeś to jest owym grajkiem, którego sława aż na dwór mój doszła? Mniemałem, że ujrzę męża siwowłosego, a widzę pacholę małe, niewiele co od Roksany mojej starsze! Z daleka przybyłem, by cię usłyszeć, chłopcze. Zagraj

⁵⁶*obwołać* (daw.) — ogłosić coś publicznie. [przypis edytorski]

mi więc piosenkę jaką, a hojnie cię wynagrodzę złotem i srebrem, łaską moją królewską.

Uśmiechnął się Gotfryd i odparł:

— Nie sprzedaję za złoto ni za srebro piosenek moich, ale jeśliś przybył ich posłuchać, królu, słuchaj tedy.

I grać zaczął tak pięknie, że słuchali go z zachwytem i heroldowie, i rycerze, i sam król miłościwy. A kiedy skończył, zawołał król Zygmunt:

— Grajku najmilszy! Zaprawdę, nie ma na ziemi całej większego nad cię pieśniarza! Nie w chacie ci nędznej lub szałasie pasterskim mieszkać! Na dwór cię swój zabiorę, do zamku mego!

I odparł mu Gotfryd:

— Zaprawdę, najjaśniejszy królu, nie pojedę z tobą!

— Nie słyszałeś — rzekł król — jak piękny jest mój zamek. Sklepienie jego tysiąc kolumn wysmukłych wspiera, ściany tkaniny drogocenne, misternie w kwiaty stubarwne haftowane, a srebrem przetykane, okrywają, a posadzki — kobierce miękkie. Sto lamp na złotych łańcu-

chach zawieszonych ciemności nocy rozprasza. Pachnidła z dalekich przywiezione krajów, w srebrnych amforach zamknięte, woń cudowną rozprzestrzeniają. A wokoło zamku tego mury wysokie i potężne się wznoszą, wrogowi tysiącem baszt przystępu broniąc.

Roześmiał się srebrzyście Gotfryd i niebo błękitne wskazując odparł:

— Spójrz w górę, królu Zygmuncie — oto jest zamku mego sklepienie, a gdy noc zapadnie, nie sto, ale sto tysięcy srebrnych lamp na nim zapłonie... Spójrz na te świerki ogromne u dołu przysadziste a mocne, a w górze strzeliste i smukłe — oto są kolumny zamku mego... Spójrz na ten miękki, srebrzysty kobierzec, co posadzkę moją okrywa; czyż piękniejszy przywieźli ci kupcy ze wschodu? A wiosną na inny go zamienię, szmaragdów koloru, w coraz to inne kwiaty haftowany, brylantami rosy się mieniący, kobierzec, co pachnie i żyje... Spójrz na te sosny ciche — oto są amfory moje, z których woń żywiczna płynie... Murów zaś zad-

nych mi nie trzeba, bo nie mam wrogów, królu Zygmuncie... Zaprawdę, nie pojedę z tobą!

— Dziecko nierozsądne, szczęścia swego ocenić nieumiejące! — rzekł król. — Pomnij, że nie co dzień łaska królewska cię spotkać może. W zamku moim na złocie i srebrze jadać będziesz, a słudzy moi nisko ci się pokłonią.

— Królu miłościwy! — Gotfryd mu na to odpowie. — Las mi poziomki rubinowe na misternie rzeźbionych liściach paproci podaje, a głupiec tylko serca przyjaciół na płatnych sług ukłony zamienia!

Zmarszczył brwi król najjaśniejszy.

— Tysiąc wasali, grajku wioskowy, słucha moich rozkazów i żaden z nich nie ośmieliłby się mego zaproszenia odrzucić, a są to wszystko grafowie i baronowie krwi szlachtetnej i wielkiego rodu, a każdy z nich na dziesięciu zamkach siedzi...

— Tysiąc wasali, miłościwy panie, słucha twoich rozkazów, a są to wszystko grafowie i baronowie krwi szlachtetnej i wielkiego rodu, na

dziesięciu zamkach siedzący. Cóż ci po jednym grajku wioskowym?

Uniósł się wielkim gniewem król i zawołał:
— Zuchwałe są, nędzny pastuchu, zuchwałe są twoje słowa! Nie umiałeś ocenić mej łaski, poznasz mój gniew! W pętach cię pachołkom moim na zamek pognać każę!

Pobladł jak płótno Gotfryd, ale zaiste nie była to bladość strachu. Ku królowi parę kroków postąpił, głowę w tył dumnie odrzucił, a oczy jego chłodne się stały jak górskie jeziora.

— Możesz mnie, królu Zygmuncie, w pętach na zamek swój pognać — w twojej to jest mocy, ale choćbyś mi miecz swój powoli do serca w pierś wbijał — klnę się na skrzypki moje — nie usłyszysz ani jednej mej pieśni!

Uczyniła się cisza ogromna i nikt z dworzaków odetchnąć nie śmiał, a drżeli wszyscy jak osinowe liście.

A król Zygmunt i Gotfryd w oczy sobie patrzyli, jak gdyby w pojedynku osobliwym się mierząc.

I stała się rzecz dziwna: Oto nagle król Zygmunt, pan potężny i dumny, głowę spuścił i głosem cichym prosić począł:

— Odpuść mi, Gotfrydzie, słowa moje! Słowa to były ojca nieszczęśliwego, który nie wie, jak dziecko swe ratować. Córka moja jedyna, księżniczka Roksana, na dziwną i straszną zapadła chorobę, która się smutkiem jadowitym zowie. A powiedzieli mi lekarze, że truje ją ona powoli i że dziecko me jedyne umrze, zanim pąki rozkwitną na drzewach. Jedno ją tylko uratować może — śmiech głęboki i szczerzy, wprost z serca idący. Ty ją jeden uratować możesz!

— Czemuż mi od razu tego nie powiedziałeś, królu Zygmuncie?! — zawołał Gotfryd. — Nie traćmy czasu na próżne gawędy, jeno co koń wyskoczy księżniczkę ratować spieszmy!

Ucieszył się bardzo król, Gotfryda obok siebie w saniach posadził, płaszczem go własnym otulił, bo mu przez marny kozuszek wiatr świstał, i w drogę ruszać kazał.

Jadą tedy, a Gotfryd króla zapyta:

— Powiedz mi, królu miłościwy, z jakiej to przyczyny księżniczka Roksana chora jest na ów smutek trujący a jadowity?

Westchnął król Zygmunt.

— Gdybym to wiedział, mój chłopcze! Czyż nie posiada córka moja komnat wspaniałych? Czyż sto służebnych nie czeka jej rozkazów? Czyż nia ma szat z aksamitu i jedwabiu, złotogłowi i srebrnej lamy? Czyż nie obdarzyłem jej najkosztowniejszymi klejnotami? Prawda, że gdy była jeszcze w kołysce, odumarła ją matka. Ale czyż brak jej opieki? Czyż nie posiada dwunastu ochmistrzyń⁵⁷, które czuwają nad każdym jej krokiem? Nie, naprawdę nie wiem, dlaczego córka moja chora jest na ten smutek trujący i jadowity.

Jadą tedy dalej milcząc, a wtem król zapyta:

— Grajku miły, nie wiesz to, dlaczego we wszystkich wioskach ruch taki dziwny panuje i jak gdyby przygotowania świąteczne?

— Królu miłościwy! — rzeknie Gotfryd zdziwiony. — Czyż zapomniałeś, że dziś wie-

⁵⁷*ochmistrzyni* — tu: opiekunka, wychowawczyni. [przypis autorski]

czór, skoro pierwsza zabłyśnie gwiazda, zasiądą ludzie do wieczerzy wigilijnej?

— Smutno jest i ciemno w zamku moim — odparł ponuro król. — Dawno już w nim świąt żadnych nie święcimy — śmierć czuwa u jego bram. Dałby to Bóg, mój chłopcze, abyśmy się dziś wesoło opłatkiem przełamali.

I rzeknie mu Gotfryd z powagą wielką:

— Wszystko jest, królu, w mocy Pana i niechże się święci imię jego na ziemi i na niebie...

*

Kiedy król i Gotfryd weszli do komnaty księżniczki Roksany, zmrok już poczynał zapadać i służebne zapaliły właśnie świece w ciężkich srebrnych świecznikach. A czyniły to cicho i bezszelestnie, gdyż każdy szmer raził chorą księżniczkę.

Ściany komnaty obite były ciemnofioletowym, prawie czarnym aksamitem, w złote lilie haftowanym, a okna zasłaniały ciężkie kotary.

Księżniczka leżała w wielkim, bogato rzeźbionym łożu, pod baldachimem z adamaszku.

Jej twarzyczka, jasną aureolą złotych włosów otoczona, bielsza była od koronek pościeli, a drobne rączki bezwładnie spoczywały na bogatych draperiach⁵⁸ kołdry.

Wokół niej siedziało sztywnie i nieruchomo, jak przystoi damom dworu w obecności królewskiej, dwanaście ochmistrzyń, które ujrawszy króla jednocześnie podniosły się, jednocześnie dygnęły i jednocześnie usiadły tak samo sztywnie i nieruchomo jak poprzednio.

Ale mała księżniczka nie poruszyła się nawet, tylko długie jej, ciemne rzęsy, rzucające cienie na przezroczystą białość jej twarzy, drgnęły i uniosły się. A wówczas ujrzał Gotfryd oczy o barwie fiołków, dziwnie smutne i zadumane.

— Jakie piosenki lubisz, mała księżniczko?
— zapytał.

— Lubię piosenki ciche i smutne, szare i rozplakane jak dzień jesienny. Lubię takie, a nie inne, ponieważ takie, a nie inne wydaje mi się wszystko wokoło mnie.

⁵⁸*draperia* — dekoracyjna fałda. [przypis edytorski]

Westchnął głęboko król, ale Gotfryd nie stropił się⁵⁹ wcale, jeno rzekł:

— Dobrze, księżniczko, zagram ci taką piosenkę. Posłuchaj tedy.

I zagrał. A była to dziwna piosenka!

Bim... bum... bim... bum... — pluskają o szyby ciężkie, duże krople deszczu.

Aach... aach... — gną się pod ich ciężarem, skarżąc się żałośnie, kwiaty i zioła.

Szarpie wichrzysko nami... Czyż nigdy nie będzie już słońca?! — szumią drzewa.

Nigdy... nigdy... nigdy... — wyje wiatr.

Bim... bum... bim... bum... — pluskają o szyby ciężkie krople deszczu.

— Podoba mi się twoja piosenka! — mówi mała księżniczka. — Graj jeszcze, graj jeszcze, Gotfrydzie!

I Gotfryd gra dalej.

Cichutka, wążiutka niteczka radości wsącza się w szarość jesiennej nuty.

— Co to jest, Gotfrydzie? — pyta księżniczka. — Co to jest, Gotfrydzie?

⁵⁹*stropić się* — stracić pewność siebie. [przypis edytorski]

— To mały promyczek słońca wjrzał spoza chmur, ale zląkł się ciemności i schował się znowu.

— Czy być może, czy być może, Gotfrydzie? Co za tchórz z tego promyka! Biedne drzewa i kwiaty!

— Cyt... poczekaj, księżniczko. On pobiegł do swoich braci i oto wszyscy rozpędzać poczynają chmury. Przestaje zawodzić wichura, prostują się kwiaty, wesoło otrząsają wodę z gałęzi drzewa, uciekają w popłochu szare, kudłate chmury, siedmiobarwna tęcza błyszczy na niebie!

— Ach, dzielne, kochane promyki słońca!

— Błękitne jest niebo świeżym, jasnym błękitem. Błyszczą się diamentowe krople na olśniewającej czerwieni wiśni w sadzie, srebrzyście śmieje się strumyk skacząc z kamienia na kamień... A za strumykiem śmiać się poczynają i drzewa, i kwiaty, i małe elfy o motylich skrzydełkach, i driady⁶⁰ o zielonych włosach, i — księżniczka Roksana... Ale mała księżnicz-

⁶⁰*driada* — boginka lasu mieszkająca w drzewie. [przypis edytorski]

ka Roksana śmieje się najgłośniej i najsrebrzyściej.

I wówczas wszystko poczyną tańczyć: motyle i ptaki, elfy i kwiaty, driady i drzewa... Wyskakuje z łóżeczka swego mała księżniczka i tańczy wdzięczniej i radośniej, prędszej i zawrotniej niż motyle i ptaki, i elfy, i kwiaty, i driady... Złote jej loki fruwią około zaróżowionej tańcem twarzyczki, a spod długiej, białej, nocnej koszulki migają, goniąc jedna za drugą, niby dwa malutkie gołąbki, jej drobne nóżki.

I płacząc, i śmiejąc się patrzy na to stary król, aż wreszcie, jak się nie zerwie, jak nie zawinie swego płaszcza z gronostajów i jak sam w tan się nie puści! A za królem i Gotfryd razem ze skrzypkami!

Tylko dwanaście ochmisrzyń siedziało sztywnie i nieruchomo, jak przystoi damom dworu w obecności królewskiej...

Zatrzymał się wreszcie Gotfryd, a że obawiał się, iż zbyt długie zmęczenie może księżniczce zaszkodzić, przeto grać począł, jak słoń-

ce zachodzi, jak powracają do gniazd ptaki, jak stulają kielichy kwiaty. I księżniczka pozwoliła się do snu ułożyć.

A Gotfryd usiadł przy niej i grał jej, jak wschodzą gwiazdy i jak usypiają ptaki i kwiaty, i drzewa, i ciemne górskie jeziora, i świat cały tajemniczy, daleki i nieznany.

Usnęła księżniczka, a przy niej usnął w głębokim fotelu stary król, a w końcu sam grajek.

Tylko dwanaście ochmistrzyń siedziało sztywnie i nieruchomo, jak przystoi damom dworu w obecności królewskiej...

Nazajutrz księżniczka Roksana obudziła się zdrowa, ale pierwsze jej słowa były:

— Czy zostaniesz już przy mnie na zawsze, Gotfrydzie?

A Gotfryd, patrząc w jej wielkie, fiołkowe oczy, wczoraj pełne łez, a dziś słońca, odparł:

— Zostanę przy tobie na zawsze, księżniczko.

I został. I był paziem i grajkiem księżniczki, a dwoje tych dzieci miłowało się bardzo.

OSTROGI RYCERSKIE OTRZYMA, ZWYCIĘZCĘ STU TURNIEJÓW PO- KONAWSZY...

O księciu Gotfrydzie opowieść siódma

Posłuchajcie tej opowieści o zdarzeniu dziwnym i cudownym, a prawdę słów moich niech potwierdzą ci wszyscy szlachetni książęta, grafowie i baronowie, którzy byli na uczcie wydanej przez króla Zygmunta na cześć jego zwycięstwa nad władcą pogańskim, Solimanem.

Wielu już tych mężów nie żyje, a wielu się po świecie rozproszyło; ale żywie jeszcze Arnold z Trevilu, którego ta przygoda spotkała, jego więc możecie zapytać, a nie będzie miał czelności zaprzeczyć. Nie radzę wam tego jednak czynić, bo jest to pan obyczajów grubych i sprośnych, nic z przyjemnej dworskości, przystojnej dla rycerza, w sobie niemający.

Na tej właśnie uczcie ukazała się po raz pierwszy księżniczka Roksana, która dzieckiem jesz-

cze będąc nie brała dotychczas w rycerskich zabawach udziału. Za jej to krzesłem stał, jako paż jej, książę Gotfryd, któremu się podówczas czternasta zaczynała wiosna; a naprzeciw niej siedział hrabia Arnold z Trevilu, będący w poszanowaniu wielkim dla swej siły i odwagi i chełpiący się⁶¹ bardzo tym, że w stu turniejach był zwycięzcą.

Otóż trzeba wam wiedzieć, że paziowie królewscy nosili suknie z błękitnego aksamitu, a na piersiach miał każdy herb swego rodu złotem haftowany, bo były to wszystko pacholeta krwi szlachtetnej.

Jeden tylko Gotfryd nie miał żadnego herbu, bo nikt nie wiedział, kto jest zacz i skąd pochodzi. Tak więc ów hrabia Arnold, podchmieliwszy⁶² sobie czerwonym winem, drwić z niego nieprzystojnie zaczął, gdyż był, jak to już powiedziałem, grubych i sprośnych obyczajów pan.

Mówi tedy hrabia Arnold do Gotfryda:

⁶¹*chełpić się* — chwalić się. [przypis edytorski]

⁶²*podchmielić* (pot.) — upić się lekko, wstawić się. [przypis edytorski]

— Słuchaj no, paziu królewski, cóż to się z twoim herbem stało? Czyś go gdzie po drodze zgubił? Boć słyszałem, że masz herb bardzo piękny: Owca na zielonym polu, a nad nią dwa kije na krzyż...

Przygryzł Gotfryd wargi, dumnym spojrzeniem Arnolda zmierzył, ale nic nie odrzekł.

A Arnold pod boki się wzięwszy, śmiechem parsknął i rzecze:

— Coś bardzo z góry na mnie spoglądasz, mój chłopcze! Czyżbym się co do herbu twego pomylił? Król cię księżniczce w podarku na gwiazdkę przywiózł, to może masz gwiazdkę wigilijną w herbie? Oj, oj, wspaniały to herb, a rzadki! To i nie dziwota, żeś dumny!

Zagryzł jeszcze mocniej usta Gotfryd, tak że mu krew na wargi wystąpiła, i pobladł jak płótno, ale nic nie odrzekł.

— He! He! — odezwie się znowu Arnold.
— A czy pozwolisz się zapytać, rycerzu Gwiazdy Wigilijnej, w jakich okolicach księżycy leży

twój zamek rodowy, oszczercy⁶³ bowiem powiadają, że nie istnieje on zgoła⁶⁴ i że przodkowie twoi świnie pasali?...

Zmarszczyła brwi księżniczka Roksana i śliczne swe usteczka dumnie wydąwszy rzekła:

— Hrabio Arnoldzie, jeśli przodkowie Gotfryda świnie pasali, to w każdym razie dwornością obyczajów przewyższać cię musieli...

Roześmiał się król i wszyscy rycerze, a hrabia Arnold purpurowy się z gniewu zrobił i rzekł:

— Zaiste, dostojna księżniczko, niepotrzebnie się tak za sługą swym ujmujecie, sam on mi przecie odpowiedzieć potrafi. No, cóż, Gotfrydzie, czy ogłuchłeś czy nie raczysz ze mną rozmawiać?

Ale Gotfryd milczał, wciąż z tą samą zimną pogardą na niego patrząc. Huknął pięścią w stół Arnold, aż zadźwięczały kielichy i zatrzeszczały deski, i zawołał:

— Widzę, że śpisz na służbie, paziu królewski, ale ja cię zaraz obudzę!

⁶³*oszczerca* — ktoś, kto kłamie, by poniżyć lub skompromitować inną osobę. [przypis edytorski]

⁶⁴*zgoła* (daw.) — zupełnie, całkiem. [przypis edytorski]

I kość z półmiska porwawszy w Gotfryda nią cisnął.

Wystąpił na środek sali Gotfryd i mały mieczyk, który paziowie dla ozdoby nosili, z pochwy wyciągnawszy rzekł:

— Wobec króla najjaśniejszego i dostojnej księżniczki, i wszystkich tu zebranych rycerzy wyzywam cię, grafie Arnoldzie z Trevilu!

Wybuchnęli śmiechem rycerze, bo też i zabawny był widok dziecka tego naprzeciw olbrzymiego i barczystego męża stojącego i wywijającego mieczykiem do zabawki podobnym... A najgłośniej śmiał się hrabia Arnold z Trevilu.

Ale Gotfryd, twarzą do króla się zwróciwszy, głosem silnym i dźwięcznym jak spiż mówić począł:

— Królu najjaśniejszy! Uczynь sprawiedliwość! Nie pozwól, by hrabia z Trevilu, zelżywszy⁶⁵ mnie, odszedł bezkarnie! Niech za słowa swe odpowie według prawa rycerskiego!

⁶⁵łżyć — obrzucać obelgami. [przypis edytorski]

A taka była w nim powaga i godność, że cisza się stała wielka i śmiech zamarł wszystkim na ustach.

Podniósł głowę król i rzekł surowo:

— Hrabio Arnoldzie z Trevilu! Czyś nie słyszał wyzwania? Rozkazuję ci wyjść i walczyć!

Spojrzeli po sobie rycerze, podniósł się z miejsca Arnold i rzekł:

— Żartujesz chyba, najjaśniejszy panie! Toć zhańbiłbyś na wieki mnie i ród mój, z chłopcem bić mi się każąc. Toć wszyscy by mnie palcami wytykali, szydząc: Oto mężny rycerz, co wytrącił miecz z ręki dziecka! A gdybym, wytrącając mu miecz, skaleczył go, co się przecież i najzręczniejszemu zdarzyć może, cóż bym wtedy począł ze wstydu?

Aliści odparł mu król:

— Arnoldzie z Trevilu! Rycerz nie obraża słabszych. Obrażając go, uznałeś go za równego sobie. Idź tedy i walcz!

— Czyż nic, najjaśniejszy panie — zapytał Arnold — nie zdoła zmienić twego postanowienia?

— Nic, Arnoldzie z Trevilu!

— A gdyby Gotfryd cofnął swe wyzwanie?

— Wówczas jedynie mógłbym cofnąć swój rozkaz.

— Słuchaj, chłopcze — rzekł groźnie Arnold — rozumiesz przecie, że wytrączę ci miecz za pierwszym uderzeniem! Wiedz tedy, że nauczę cię wówczas mego miecza płazem, co to znaczy z rycerzami się mierzyć! Odstąp lepiej od swego wyzwania, a dam ci tyle złota, ile udźwignąć zdołasz.

— Hrabio Arnoldzie! — zawołał Gotfryd, a oczy jego płonęły. — Hrabio Arnoldzie, do poprzednich obelg dodałeś nową! Wiedz jednak, że los bitwy nie w twoim, lecz w Boga jest ręki! Na świętego Jerzego! Wychodź albo ja cię płazem do walki przymuszę, tchórzku nikczemny!

— Ha! Zuchwały szczeniaku! — ryknął Arnold. — Broń się tedy!

I krzyżowym cięciem na niego natarł.

Osłonił się Gotfryd swym dzieciennym mieczykiem i, o dziwo — odbił uderzenie.

Okrzyk zdumienia wyrwał się ze wszystkich piersi: Jak to, zwycięzca w stu turniejach nie wytrącił temu dziecku przy pierwszym natarciu miecza?! Podnieśli się z miejsc rycerze i kołem zapaśników otoczyli.

Nieprzytomny prawie z wściekłości natarł Arnold po raz drugi. I po raz drugi Gotfryd odparował jego cięcie.

Wówczas Arnold stracił panowanie nad sobą. Poczul, że oto cała jego sława rycerska wniwecz się obraca i że jeśli nie zwycięży natychmiast w tej śmiesznej, dziecinnej walce, to nie będzie takiego rycerza, który zechciałby swój miecz z jego mieczem skrzyżować. Nie pamiętał już o tym, że walczy przeciw dziecku. Nacierał z zaciętą, mściwą wściekłością. Używał swoich wszystkich najślawniejszych, najtrudniejszych do odparcia, niezwycięzonych cięć. Ale nadaremnie! Gotfryd odbijał jego miecz tak lekko i swobodnie, jak gdyby walka ta była dla niego zabawką. Długi czas ścierali się ze sobą i coraz słabsze, coraz mniej pewne stawały się uderzenia Arnolda.

Aż oto drugi okrzyk zdumienia wyrwał się ze wszystkich piersi: Gotfryd przeszedł z obrony do natarcia!

Przez kilka chwil bronił się Arnold, z widoczną trudnością razy przeciwnika odpierając, po czym tyłem cofać się począł.

I wówczas nagle puścił Gotfryd miecz swój zawrotnym mistrzowskim młynkiem i trzeci okrzyk wyrwał się z piersi rycerzy: miecz Arnolda zatoczył krąg i upadł do stóp Gotfryda, który nogą nań nastąpiwszy rzekł spokojnie:

— Walka jest skończona, hrabio Arnoldzie!

Zakrył Arnold z cichym jękiem twarz rękami.

— Jestem zhańbiony, królu miłościwy! Zdejmijcie mi rycerski pas i ostrogi, bo niegodzien jestem ich nosić! Przyślijcie mi kądziel⁶⁶ i wrzecziono⁶⁷, bo ono mi teraz tylko przystoi!

— Mylisz się, Arnoldzie — rzekł poważnie król. — Jest nas tu trzynastu rycerzy, ale za-

⁶⁶*kądziel* — pęk włókna do przedzenia. [przypis edytorski]

⁶⁷*wrzecziono* — przyrząd do przedzenia ręcznego. [przypis edytorski]

den z nas nie oparłby się temu dziecku! Śmiało
rzec możesz, iż raz tylko byłeś pokonany, ale
pokonał cię wojownik, jakiego jeszcze między
rycerzami nie było! Gotfrydzie! Nie miałeś do-
tąd godła — miej godło Gwiazdy Wigilijnej!
Nie miałeś miana — zwij się Gotfrydem Zwy-
cięzcą! Byłeś paziem — klęknij!

Gotfryd ukląkł, a król trzy razy go po ra-
mieniu uderzywszy rzekł:

— Jesteś rycerzem!

I zawołali grafowie i baronowie:

— Niech żyje Gotfryd Zwycięzca, rycerz
Gwiazdy Wigilijnej!

Ale Gotfryd, z klęczek się nie podnosząc,
na księżniczkę Roksanę błagalnie patrzył. Zro-
zumiała to spojrzenie Roksana i wstęgę błękit-
ną od sukni oderwawszy z uśmiechem ją Got-
frydowi podała.

MIECZA NIE DOBYWAJĄC ZAMEK,
NA KTÓRY SAM KRÓL Z CAŁĄ
DRUŻYNĄ PORWAĆ SIĘ NIE WA-
ŻYŁ, ZDOBEDZIE...

O księciu Gotfrydzie opowieść ósma

Osiemnasty się rok Gotfrydowi poczynął i wslawiony był już młody książę wieloma rycerskimi czynami, gdy wydarzyło się razu pewnego, że przybyła na dwór króla Zygmunta wdowa po wasalu jego ze skargą bardzo żalosną. Rzecz zaś miała się tak:

Po śmierci jej męża poprosił ją o rękę pan wielu sąsiednich zamków. Ale że nie czuła ku niemu afektu⁶⁸ żadnego, przeto odmówiła jego prośbie. Wówczas obrażony rycerz sioła⁶⁹ jej zagarnął, zamek spalił, a ją samą z maleńkim synkiem precz wygnał.

⁶⁸*afekt* (daw.) — uczucie, miłość. [przypis autorski]

⁶⁹*sioło* (daw.) — osada wiejska. [przypis edytorski]

Rozgniewał się bardzo król na gwałt takowy i obiecał bezprawie ukarać, a siedzibę jej przywrócić. Ale gdy o imię krzywdziciela się zapytawszy usłyszał, że jest nim hrabia z Montclairé'u, zasępił się wielce i rzekł:

— Bóg widzi, dobra pani, że nierad bym cię z niczym od tronu naszego odchodzącą widział. Cóż jednak mam uczynić, kiedy nie jest w mojej mocy z grafem Albertem walczyć. Siedzi on na zamku niezdobytym, a drużyna jego niewiele jest mniejsza od mojej. Próbował już raz rodzic mój zamek butownika tego oblegać, ale od murów jego ze wstydem odstąpić musiał. Zapytajcie się, łaskawa pani, wszystkich tu zebranych rycerzy, a potwierdzą słowa moje.

I powtórzyli mu chórem rycerze:

— Prawdę rzekł nasz król! Próżny byłby to trud na hrabiego Alberta z Montclairé'u się porywać.

Aliści wystąpił z grona rycerzy Gotfryd i gniewem szlachetnym zapłoniony rzekł:

— Czy mnie słuch nie myli, królu najjaśniejszy i wy dostojni panowie? Azali⁷⁰ naprawdę chcecie wdowę tę z niczym odprawić z trwogi przed jednym rozbójnikiem i buntownikiem?! Azaliście zapomnieli, że pierwszą powinnością rycerza jest słabych i uciśnionych bronić?!

Zmarszczył brwi król.

— Gotfrydzie! — rzekł. — Szanuję cię bardzo i miły mi jesteś niby syn rodzony. Ale choć wielkim jesteś rycerzem, nie przystoi ci jednak mężom siwowłosym tchórzostwa zarzucać. Co innego bowiem jest, Gotfrydzie, męstwo, a co innego nierozsądne zuchwalstwo. Cóż byśmy wdowie tej pomogli, gdybyśmy pod murami zamku Alberta polegli?

— Przystoi rycerzowi — odparł na to Gotfryd — w sprawie uciśnionego polec, ale nie przystoi mu wcale z niczym go odprawiać...

Rozgniewali się bardzo rycerze i jeden z nich rzekł szyderczo:

⁷⁰azali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

— Czemuż to nam wyrzuty czynisz, że się za wdową tą ująć nie chcemy? Jeśliś taki mężny i obowiązkom rycerza do śmierci wierny, ujmij się za nią sam. Droga do Montclaire'u dla wszystkich otwarta. Jedź sam tedy i walcz, „niezłomny” rycerzu!

Nie odparł no to nic Gotfryd, jeno z sali wyszedł, a myśleli wszyscy, że się obraził albo zawstydził, niesłuszność swoich zarzutów zrozumiałwszy.

Nie tak ci to jednak było.

Gotfryd do swojej poszedł izby i szaty akksamitne z siebie zrzuciwszy od stóp do głów w żelazo się przyodział, po czym giermka⁷¹ swego przywoławszy rumaka mu osiodłać kazał.

I zapytał go giermek jego:

— Czy przed główną bramę mam wyprowadzić waszego konia, panie mój?

A odparł mu Gotfryd:

— Nie, giermku, wyprowadź go przed boczną i tak, aby nikt tego nie spostrzegł.

I zapytał go giermek jego:

⁷¹*giermek* — sługa rycerza. [przypis edytorski]

— Czy mam jechać z wami, panie mój?

A odparł mu Gotfryd:

— Nie, giermku, jadę samotny...

I zapytał go giermek jego:

— Czy prędko wrócicie, panie mój?

A odparł mu Gotfryd, uśmiechając się dziwnie:

— Nie, giermku, nieprędko wrócę, najpewniej już nigdy!

I dosiadłszy rumaka pojechał Gotfryd w stronę Montclaire'u. Jechał Gotfryd dwa dni i dwie noce, aż na trzeci dzień pod murami zamku hrabiego Alberta stanął i w róg zatrąbił.

Wszedł tedy na mury wartownik i zawołał:

— Czego żądasz, obcy rycerzu? Czy w gościnę do dostojnego pana mojego przybyłeś, czy spuścić mam most zwodzony?

Ale odrzekł mu Gotfryd:

— Nie goszczę pod dachem zbójów nikczemnych, wartowniku zamkowy! Idź do pana twojego i powiedz mu, że Gotfryd Zwycięzca, rycerz Gwiazdy Wigilijnej, stoi przed bramą zamku i czeka na niego! Jeśli odda zagrabio-

ne dobra wdowie po króla Zygmunta wasalu i pieszo, bez miecza i z odkrytą głową, tę panią za gwałt i rozbój, a króla za nieposłuszeństwo, przeprosić pójdzie, wówczas odejdzie Gotfryd tam, skąd przyjechał. Jeśli jednak uczynić tego hrabia Albert nie zechce, niech przyjdzie tutaj z Gotfrydem się zmierzyć! Wyzywam jego i wszystkich jego rycerzy!

Zdziwił się bardzo wartownik Gotfryda zachwalstwem, ale nic mu nie odrzekł, jeno panu swojemu słowa jego powtórzyć poszedł.

A ucztował właśnie hrabia Albert wraz z całą drużyną w wielkiej sali zamkowej. Stał tedy przed nim strażnik ów i powinność swoją spełnił. Słuchał go w milczeniu hrabia Albert, a twarz jego była purpurowa i sina się stała, jakby mu wszystka krew do głowy uderzyła. Oczy mu jak u byka wściekłego na wierzch wyszły, żyły na czole nabrzmiały, a ręka jego to za miecz, to za gardło chwytiała, jakby się obawiał, że go wściekłość udusi.

— Hej! — ryknął wreszcie. — Dajcie mi tu mój miecz i zbroję moją! Zuchwały młodzi-

ku, nauczę cię, co to znaczy hrabiego Montclairu obrazić!

Ale stary burgrabia⁷² zamkowy głową wstrząsnął i rzekł:

— Zaprawdę, nierozsądnie byłoby to bardzo, żebyś poszedł, panie mój, z tym młodym rycerzem walczyć! Cóż bowiem myślał Zygmunt posyłając go tutaj? Oto myślał: Jeśli hrabia Albert zuchwalstwem jego rozgniewany pachółkom go ubić każe, tedy rozgłoszę to wszędzie i zhańbię go w oczach wszystkich rycerzy chrześcijańskich. Jeśli zaś sam na walkę z nim wyjdzie, tedy albo polegnie hrabia Albert i pozbędę się buntowniczego wasala, a dobra jego zagarnę, albo Gotfryda zabije, a wtedy rozgłoszę, że zabił go nie w szlachetnej rycerskiej walce, ale zdradnie⁷³ go ze wszystkich stron z drużyną opadłszy. Uwierzy mu w to łącno⁷⁴ każdy, bo młody ten rycerz wielką się cieszy sławą i nie

⁷²*burgrabia* — urzędnik zamkowy; zastępca starosty lub kasztelana; zarządca grodu. [przypis edytorski]

⁷³*zdradnie* (daw.) — zdradziecko. [przypis edytorski]

⁷⁴*łacno* (daw.) — łatwo, bez trudu. [przypis edytorski]

ma pono na dworze Zygmunta nikogo, co by mu pola dotrzymał.

Tak prawił stary burgrabia, a Alberta ponownie wściekłość dusić poczęła. Tupnął tedy nogą, aż się po sali echo odezwało.

— Cóż tedy mam robić? — zawołał. — Czyż mam pozwolić, by mi zuchwalec ten bezkarnie urągał⁷⁵?!

— Panie mój — odparł burgrabia — posłuchaj rady starego sługi. Poślij pachółka do Gotfryda i każ mu powiedzieć, że nie z każdym przyjezdnym chłystkiem⁷⁶ krzyżuje swój miecz Albert z Montclaire'u. Niech jedzie tedy, skąd przyjechał... Tak zawiedziesz chytre rachuby Zygmunta, a jednocześnie ukarzesz Gotfryda bardziej, niż gdybyś go pokonał. Cóż bowiem większą jest karą dla rycerza niż pogarda?

Podobała się bardzo ta rada hrabiemu Albertowi i kazał strażnikowi słowa burgrabiego Gotfrydowi powtórzyć.

Wysłuchał go spokojnie Gotfryd i rzekł:

⁷⁵*urągać* — wymyślać komuś, obrażać kogoś. [przypis edytorski]

⁷⁶*chłystek* — młody, niepoważny człowiek. [przypis edytorski]

— Wartowniku zamkowy, powiedz panu twemu, że rycerz, który broni sprawy pokrzywdzonego, może paść w walce, ale nie może bez walki sprawy tej odstąpić. Będę tedy czekał tu tak długo, aż nie wyjdzie na bój hrabia Montclairu!

Rzekł i stanął prosto i nieruchomo z obnażonym mieczem w dłoni, jak przystoi rycerzowi, który wyzwiał wroga na walkę śmiertelną i oczekuje na jego przybycie.

Roześmiał się głośno hrabia Albert, gdy mu strażnik odpowiedź Gotfryda powtórzył.

— Niechże czeka! — zawołał. — Nie przeszkadza mi to wcale. Bawimy się tu dobrze przy kielichach!

I ucztował hrabia Albert ze swymi rycerzami, ucztował przez całą noc, dopiero nad ranem poszedł na odpoczynek do swej komnaty.

I spał snem ciężkim, mocnym i długim, miodem gęstym i złocistym i winem jak krew czerwona odurzony. A gdy się zbudził, wysoko już było słońce na niebie. Podniósł się tedy z łoża szerokiego, miękkimi skórąmi zasła-

nego, i poszedł na mury obejrzeć, czyli warty rozstawione i czyli każdy swój obowiązek czyni.

Patrzy, a tu pod murami rycerz młody, bardzo pięknej postawy, prosty i nieruchomy z mieczem obnażonym w dłoni stoi. Zadziwił się Albert i strażnika zapytał:

— Wartowniku zamkowy, co to za rycerz i na co tu czeka?

I odparł mu strażnik:

— Czy zapomniałeś już, panie mój, o wyzwaniu, którem ci wczoraj powtórzył? Ten młody rycerz to Gotfryd Zwycięzca, a czeka na ciebie, hrabio Montclairé'u. Stoi tak od wczoraj, nie drgnąwszy nawet, rycerskie swe słowo dzierżąc⁷⁷.

Wzruszył ramionami hrabia Albert.

— Wielki jest upór w tym człowieku — rzekł — ale i nierozsądny bardzo. Czyż myśli, że zdoła mnie wbrew mej woli tym sposobem do walki przymusić? Śmieszne to urojenie! A niech stoi, jeśli mu to przyjemność

⁷⁷dzierżyć (daw.) — trzymać; tu: dotrzymywać słowa. [przypis edytorski]

sprawia, choć do sądneho dnia! Ty zaś każ pa-chołkom, aby wszystkich moich rycerzy znów na ucztę prosili.

I ucztował znów Albert dzień cały i całą noc, a kiedy już świtało, pazia zawołał i kazał mu strażników zapytać, czy dawno Gotfryd odjechał. Wrócił po chwili paż i rzekł:

— Dostojny panie! Nie odjechał wcale Gotfryd. Stoi przed bramą, prosty i nieruchomy z obnażonym mieczem w dłoni, tak właśnie jak przystoi rycerzowi, który wyzwał przeciwnika na walkę śmiertelną i oczekuje na jego przybycie.

Zaklął hrabia Albert i dziwnie gniewny i ponury odszedł do swojej komnaty, a zasunąwszy rygle samotnie nad czymś rozmyślał.

Aliści pod wieczór dnia tego straszna się zerwała burza. Najstarsi ludzie powiadają, że nigdy jeszcze takiej burzy nie widzieli.

Oślepiająca jasność błyskawic zdawała się rozdzierać niebo, huk grzmotów ogłuszał, a deszcz lejący strumieniami wypłoszył nawet warty z murów. Każdy chronił się, jak mógł i gdzie mógł.

A burza szalała noc całą i dopiero ze wschodem słońca uciszać się nieco poczęła.

Wtedy to właśnie przywołał do siebie Albert pazia i rozkazał mu do burgrabiego, którego izba na wieży się znajdowała, iść i zapytać go, czy dawno Gotfryd odjechał.

Z niemałym strachem, po kolana w wodzie brodząc, dostał się do wieży burgrabiego paż i pytanie pana swego powtórzył.

Wziął go za rękę burgrabia i do okna doprowadziwszy rzekł krótko:

— Patrz.

Spojrzał paż i krzyknął z zadziwienia wielkiego. Pośród świateł i błyskawic, i huku grzmotów, wycia wichru i ulewy deszczowej stał tak Gotfryd. Stał prosto i nieruchomo z obnażonym mieczem w dłoni, jak przystoi rycerzowi, który wyzwiał przeciwnika na walkę śmiertelną i oczekuje jego przybycia...

Poszedł tedy paż do hrabiego i to, co widział, mu opowiedział.

Popatrzył na niego ponuro Albert i ręką drzwi wskazał na znak, by się oddalił.

Odszedł paż, ale pacholek, co u drzwi na rozkazy oczekiwał, słyszał, jak hrabia Albert bez spoczynku, ciężkimi krokami po izbie się tłukł niby zwierz dziki, w klatkę pojmany.

A nazajutrz skwar taki po owej burzy nastął, że zdawało się, iż żar roztopiony z nieba się leje. I znowu najstarsi ludzie powiadali, że jako żywo upału takiego nie widzieli. Nikt z komnat nie wychodził, bo powietrze parzyło płuca, kamienie dziedzińca stały się jak rozpalone żużle⁷⁸, a woda w studni wyschła.

Roztworzył drzwi swej komnaty ksiązę Albert i po krętych schodach na basztę wyszedł, a potem w dół spojrział.

Pod murami zamku, na których ani jeden nie został wartownik, na polu, którego zboża i kwiaty tak wypaliło słońce, że w piaszczystą zamieniło je pustynię, stał Gotfryd. Zbroja jego rozpalona była do czerwoności, iż wydawał się ognistym słupem, od którego blaski i światła szły dziwne. Stał prosty i nieruchomy z obnażonym mieczem w dłoni, jak przystało

⁷⁸żużel — tu: grudka spieczonego popiołu. [przypis edytorski]

rycerzowi, który wyzwał przeciwnika na walkę śmiertelną i oczekuje jego przybycia.

Patrzył na niego długo hrabia Albert, ale na twarzy pana na Montclaire nie było ani gniewu, ani naigrwania się.

Hrabia Albert był bardzo blady, a oczy jego były pełne łez.

I nagle zachwiał się Albert, jakby go tamten rycerz z dołu strzałą w samo serce ugodził, i padł na kolana.

I bił się w piersi hrabia Montclaire'u, i szlochał jak dziecko. A potem kazał dać sobie włosiennicę⁷⁹ i worek z grubego płótna i bosy, z odkrytą głową, w dół zeszedł po moście zwodzonym i przed Gotfrydem stanął.

Ale Gotfryd nie widział go.

Twarz rycerza była spalona, usta popękane od żaru i pragnienia, a oczy zaszły krwią i oślepiły od słońca.

Klęknął tedy przed nim Albert i kolana jego obejmując rzekł:

⁷⁹włosiennica — szorstka szata pokutna. [przypis edytorski]

— Oto zwyciężyłeś mnie, Zwycięzco! Oddaj wdowie, o której cześć walczyłeś tak mężnie i wytrwale, jak żaden jeszcze nie walczył rycerz, ziemię jej należną, moje zaś dobra i zamek mój prawem łupu wojennego do ciebie należą. Niewolnikiem jestem twoim i uczynię wszystko, co rozkażesz. Jedną mi tylko łaskę wyświadcz: wejdź pod ten dach, który dotychczas swoim zwałem, pokrzep się nieco i spocznij.

Ale Gotfryd przytulił głowę jego do piersi i odparł:

— Niech mnie Bóg broni, bym ci dobra twoje i zamek twój zabierał! Napraw jeno krzywdę, którąś wyrządził, bądź mi przyjacielem, a do domu twego chętnie wejdę i spocznę w nim bardzo rad.

Weszli więc do zamku, a hrabia Albert, ugościwszy rycerza, na posłaniu go ze skór miękkich ułożył i do rana sam nad nim czuwał.

Nazajutrz obudził się Gotfryd zdrów i wypoczęty i do stolicy pojechał.

Ale sława jego czynu biegła przed nim i kiedy do zamku królewskiego się zbliżył, oczeki-

wał przed bramą na niego sam król najjaśniejszy i księżniczka Roksana, i dwór cały, i wszyscy wasale.

Zsiadł z konia Gotfryd i do króla z powitaniem podszedł.

Aliści rzekł król:

— Bądź pozdrowiony, Gotfrydzie Zwycięzco! Odtąd nie tylko „Zwycięzcą”, ale i „Niezlomnym” będziemy cię zwali. — A potem miecz swój odpasując dodał: — Za stary już jestem, bym mógł sam sprawiedliwość wymierzać i rycerzy mych na bój prowadzić, a nie dał mi Bóg syna. Bądź tedy odtąd drużyny mojej dowódcą! Masz miecz mój jako godło twojej władzy.

I zawołali rycerze:

— Zaprawdę, słuszny to wybór, albowiem jest tu między nami wielu starszych od niego, ale nie ma godniejszego!

Wziął tedy Gotfryd miecz z rąk królewskich i do boku swego przypasał, a rycerze otoczyli go kołem.

Ale Gotfryd popatrzył ponad nich, tam gdzie stała obok króla księżniczka Roksana i uśmie-

chała się do niego najpiękniejszym ze swych uśmiechów.

KSIĘŻNICZKA MÓRZ PODARUJE MU PIERŚCIEŃ CZARODZIEJSKI, WŁADZĘ NAD MORZEM DAJĄ- CY...

O księciu Gotfrydzie opowieść dziewiąta

Czy widzieliście kiedy, szlachetni panowie, umarłe kamienie?

Czy widzieliście kiedy omdlałe w matowej białości perły, szafiry, co utraciły swój błękit, szmaragdy, co nie mieniają się już zielenią morza, rubiny, co nie lśnią krwawym, tajemniczym światłem, opale, w których nie łamie się już wielobarwna tęcza?

Czy widzieliście kiedy, szlachetni panowie, umarłe kamienie?

Nie przez próżną ciekawość was pytam. Chcę was przestrzec, abyście nigdy kamieni takich

do życia przywracać nie pragnęli. Nade wszystko chcę wam jednak poradzić, abyście zasłyszawszy o człowieku, który kamienie takie uzdrowia, nie ufali mu i starali się omijać dom jego, nie spotykać się z nim na żadnej drodze w dzień ani w nocy...

Posłuchajcie tej opowieści, a przekonacie się, że rady moje są słuszne i mądre, i wiele rzeczy ukrytych — jasnymi i zrozumiałymi się dla was stanie.

Posłuchajcie tej opowieści o zdarzeniu strasznym i tajemniczym. A działo się to na dworze króla Zygmunta, niedługo potem, jak Gotfryd dowództwo drużyny zamkowej objął.

*

Oprowadziwszy Gotfryda po całym zamku i murach obronnych, i basztach i pokazawszy mu lochy jego podziemne i skrytki przeróżne, rzekł do niego król:

— Oto obejrzałeś już, mój synu, wszystko oprócz skarbca, zejdźmy tam tedy, bo powi-

nienes' go znać, jako że odtąd czuwać nad nim będziesz.

Zeszli więc w dół, a przed nimi pacholko-
wie świecąc pochodniami.

Rozstąpili się na widok króla strażnicy, przej-
ście mu czyniąc, ale Gotfrydowi drogę halabar-
dami⁸⁰ zagrodzili. Ozwał się więc król:

— Ten rycerz, Gotfrydem Zwycięzcą zwa-
ny, jest odtąd waszym dowódcą i winniście mu
posłuszeństwo, jakoby mnie samemu.

To rzekłszy złoty klucz Gotfrydowi podał
i kazał mu wobec straży odrzwia skarbca otwo-
rzyć na znak, że mu odtąd to prawo z kró-
lewskiego upoważnienia na zawsze przysługu-
je. Po czym weszli obaj do podziemnych kom-
nat skarbca.

Dziwował się Gotfryd wielce ogromnym skrzy-
niom, po brzegi srebrem, złotem i drogimi ka-
mieniami napełnionym, i zbrojom przeróżnym,
misternie ze szlachetnych kruszców kutym, i sza-
tom ze srebrnej i złotej lamy, haftami od klej-
notów błyszczącymi zdobnym, futrom drogo-

⁸⁰*halabarda* — broń kłująca na długim drzewcu. [przypis edytorski]

cennym z Dalekiej Północy i kobiercom miękkim i wzorzystym ze Wschodu.

Ale dziwując się nie zapomniał baczenie wokoło się rozglądać, jak biegną komnaty i korytarze, gdzie leżą skrytki i tajne przejścia i jak się roztwierają. Toteż chwalił bardzo jego roztropność król i radował się w duszy, że tak dobrego wyboru dokonał Gotfryda dowódcą mianując.

Kiedy więc tak z komnaty do komnaty razem przechodzili, zatrzymał się nagle Gotfryd i ścianie jednej baczenie przyglądać się zaczął. Zdziwił się król i zapytał go:

— Powiedz mi, Gotfrydzie, dlaczego się temu staremu murowi z taką uwagą przypatrujesz? Toć żadnego z moich najpiękniejszych klejnotów nie podziwiałeś tak długo!

— Najjaśniejszy Panie! — odparł Gotfryd. — Czy nie widzisz, że wzdłuż tego muru biegną pęknięcia tak proste i wyraźne, jakby umyślnie były zrobione, i że tworzą one rysunek drzwi?

— Wiele jest takich szpar w murach mego zamku, które są bardzo stare i tworzą nieraz

najdziwniejsze rysunki — rzekł wzruszając ramionami król.

Ale Gotfryd podszedł do ściany i położywszy ręce na owych drzwiach na niej naznaczonych pchnął je mocno.

I nagle ściana roztworzyła się, ukazując ciemny korytarz w głąb podziemi wiodący.

— Gotfrydzie! — zawołał zdumiony król. — Odkryłeś tajemne przejście, o którym nie tylko ja, ale ani ojciec mój, ani dziad nie wiedzieli. Zaprawdę, nic nie może zostać ukryte dla twych oczu! — I począł spuszczać się w dół po wykutych w kamieniu stopniach, a za nim Gotfryd. Tak doszli aż do żelaznych, na mocne rygle zamkniętych, drzwi, a gdy je roztworzyli, znaleźli się w niewielkiej, nisko sklepionej, ciemnej izbie, pośrodku której stała ogromna skrzynia z brązu.

— Zapewne — rzekł król — znajdziemy w niej najcenniejsze klejnoty skarbcza, skoro dziad mój czy pradziad tak głęboko i sztucznie⁸¹ ją ukrył!

⁸¹*sztucznie* (daw.) — tu: sprytnie, przemyślnie. [przypis edytorski]

Wszelako gdy Gotfryd podniósł ciężkie wieko skrzyni, znaleziono w niej tylko trzy naszyjniki: jeden z pereł, drugi ze szmaragdów, trzeci z rubinów. Prawda, że bardzo pięknej roboty były te naszyjniki i kamienie w nich były niezwykłej wielkości, ale cóż z tego, kiedy wszystkie utraciły blask swój i barwę, były bowiem to kamienie od dawna umarłe.

Król Zygmunt jednak przyglądał im się z radością i zachwytem.

— Oto są — powiedział — klejnoty godne mej córki, księżniczki Roksany! Każ, Gotfrydzie, by zanesiono je memu alchemikowi⁸², on przywróci im blaski, które utraciły.

Alchemik jednak wysłuchawszy woli królewskiej odparł:

— Nie mogę wrócić życia tym kamieniom. Nie w mojej to jest mocy, tak jak nie w mojej mocy jest wskrzeszać umarłych.

I oto stała się rzecz dziwna. Król Zygmunt, który zwykle niewiele troszczył się o klejno-

⁸²*alchemik* — średniowieczny uczony poszukujący sposobu otrzymywania złota. [przypis autorski]

ty, zapalał nagłym nieprzepartym pragnieniem posiadania tych kamieni żywych, lśniących barwami tęczy, cudownie pięknych!

Wszystkie inne sprawy przestały go zajmować. Nie wyjeżdżał już na łowy, nie budował zamków obronnych, nie czynił wypraw wojennych, nie ucztował ze swymi rycerzami.

Na wszystkie strony świata rozsyłał gońców i kazał im wielkie nagrody temu, kto by się podjął umarłe kamienie uzdrowić, obiecywać. Poleciał również kupców, którzy przyjeżdżali z zamorskich krain, zatrzymywać i na zamek prosić i długo ich wypytywał, czy o takim mędrцу nie słyszeli.

Ale na próżno.

I coraz większy smutek i przygnębienie ogarniały króla. Daremnie wierni poddani, chcąc rozweselić serce jego, najpiękniejsze mu znosili klejnoty. Król pragnął jeno tych, które umarły. Ta dziwaczna zaś i niezrozumiała żądza rosła w nim z dnia na dzień, aż wreszcie doszło do tego, że król Zygmunt, znany ze swej pobożności

i cnót chrześcijańskich, rzekł raz do Gotfryda w obecności wszystkich rycerzy:

— Próżne są twoje starania, by mnie pocieszyć, Gotfrydzie! Czuję, że jeżeli nie uda mi się kamieni tych ożywić, umrę z żalu. Gdyby sam zły duch przyrzekł mi je uzdrowić, przyjąłbym bez wahania jego pomoc!

Ach, cóż za nierozsądne i lekkomyślne słowa! I jak prędko miał je biedny król odpokutować!

Tej samej nocy jeszcze zerwała się nad zamkiem taka burza, że nikt nie udał się na spoczynek.

Służba zebrała się w izbach czeladnych⁸³, panny dworskie w komnatach księżniczki Roksany, a rycerze w wielkiej sali zamkowej i każdy skracał sobie czas, jak umiał — wiadomo, że w gromadzie różniej bywa niż samemu.

Król Zygmunt siedział przed olbrzymim ogniskiem, które na kominku rozpalono, w głębokiej i ponurej zadumie pogrążony.

⁸³*izba czeladna* — w dawnych dworach pomieszczenie dla służby. [przypis edytorski]

Nie zabawiał się on kielichem, jak większość jego rycerzy, nie przyglądał się grze w kości, nie słuchał opowiadań i baśni, którymi pieśniarz serca rycerzy rozweselał. W tej wielkiej gwarnej sali zdawał się on być zupełnie samotny.

A burza srożyła się ciągle i godzina płynęła za godziną. Aż coś około północy usłyszano nagle głos rogu, potem wołanie jakiegoś, jak gdyby ktoś starał się wycie wichru i łoskot grzmotów przekrzyczeć, a potem dźwięk łańcuchów mostu zwodzonego, który widocznie straż zamkowa spuszczała.

Zadziwili się bardzo rycerze. Któż to mógł o tej porze i w taką burzę do zamku przybywać? I jakiś nieokreślony niepokój ogarnął wszystkich.

Jakoż po niedługiej chwili wszedł do sali paż dziwnie blady i zmieszany i pokłoniwszy się królowi w te się słowa odezwał:

— Miłościwy panie! Człek jakiś, uzdrowiaczem umarłych kamieni się mieniący⁸⁴, sta-

⁸⁴*mienić się* — nazywać siebie kimś. [przypis edytorski]

nać pragnie przed twoim obliczem. Myślę jednak, że należałoby go bez zwłoki stąd odprawić i nakazać straży, aby nie wpuszczala go nigdy więcej!

Ale król Zygmunt nie zwrócił uwagi ani na bladość pazia, ani na jego słowa.

— Proś go tu natychmiast! — zawołał i z niezwykłą żywością powstał z fotela, jak gdyby sam chciał podążyć na spotkanie nieznajomego.

Paź wahał się jeszcze i chciał widocznie coś powiedzieć, ale widząc niecierpliwość królewską wyszedł i niebawem powrócił z przybyszem.

Zaledwie jednak wszedł ów przybysz do sali, gdy wszyscy poczuli, jak nieokreślony niepokój, który ich trapił, w lęk dziwny i nieprzewyciężony się zamienia.

Na pozór był to wysoki, siwy starzec, o postaci poważnej, a nawet szanownej. W ruchach jego było jednak coś szczególnego, coś, co przypominało skradającego się zwierza. A oczy jego? Czyż nie były oczyma czającego się tygrysa? Dziwne, zielone oczy bez źrenic i białek, oczy

przypominające zielone latarki, w których głębi paliły się dwa czerwone płomyczki.

Król Zygmunt jednak zdawał się niczego nie spostrzegać i witał przybysza serdecznie i radośnie, jakby gościa długo oczekiwanego.

— Tyś jest uzdrawiaczem umarłych kamieni? — zapytał, usiąść mu obok siebie rozkazawszy.

— Tak, najjaśniejszy panie! — odparł nieznajomy. — Zasłyszałem, że posiadasz kamienie, które ożywić pragniesz, i oto jestem na twoje usługi!

— Mistrzu! — zawołał uradowany król. — Jeśli naprawdę uczynić to zdołasz, to nie ma rzeczy, której bym ci odmówił! Weźmiesz w nagrodę tyle srebra i złota, ile zażądasz, a nadto obdarzę cię moją przyjaźnią i łaską królewską!

Tak mówił, a nieznajomy kłaniał się pokornie i dziękował, ale uśmiechał się przy tym tak złośliwie i szyderczo, że w Gotfrydzie gniew aż kipiał. Król Zygmunt jednak nie widział czy też nie chciał widzieć tego i rozkazawszy oddać

przybyszowi klejnoty pożegnał się z nim bardzo łaskawie.

Upłynęło od tego czasu coś trzy dni.

I znowu o północy ktoś do bramy zamku zapukał. Tym razem jednak nie był to uzdrowiacz umarłych kamieni, ale jego sługa, mały, czarny karzeł. Odnosił on królowi naszyjniki. A gdy otworzył król niewielką skrzyneczkę z brązu, w której były złożone owe klejnoty, okrzyk radości i zachwytu wyrwał się z jego piersi. Bo też nikt chyba nie widział jeszcze tak cudownie pięknych kamieni!

Zieleń szmaragdów miała jakieś osobliwe, głębokie i przezroczyście tony.

Perły mieniły się bladoróżowym i złotym światłem jutrzeńki⁸⁵.

Rubiny płonęły gorącą purpurą ognia.

Kazał więc król dać karłowi wór pełen złota, a przywoławszy księżniczkę Roksanę podarował jej naszyjniki polecając, by zawsze jeden z nich nosiła.

⁸⁵*jutrzeńka* (poet.) — świt, zorza poranna. [przypis edytorski]

Nazajutrz jednak księżniczka Roksana wyszła ze swej komnaty bardzo blada i smutna.

— Ojczy mój i królu — powiedziała — nie chcę nosić tych klejnotów! Każ je zabrać skarbnikowi. Miałam dziś w nocy dziwny sen. Śniło mi się, że szmaragdy mego naszyjnika poruszają z wolna poruszać się niby żywe i jedne o drugie uderzają, i taką wydzwaniają piosenkę:

Ma zielenń nasza, ma zielenń nasza
Ton jasny, przezroczy,
Bo takie są przecież, bo takie są przecież
Rusalek oczy...

Po czym jedne za drugimi krążyć wkoło mnie zaczynają, niby długi, zielony wąż, i coraz bliżej ku mnie przybliżają się, opasując szyję moją i piersi śliskim i zimnym splotem... Obudziłam się drżąc cała, słaba i prawie chora.

Tak opowiadała księżniczka, ale król wzruszył ramionami.

— Sny bywają nieraz bardzo dziwaczne! —
rzekł. — Ale to nie powód jeszcze, abyś wyrze-
kała się tak pięknych klejnotów!

I rozkazał swoim truwerom⁸⁶, aby zabawili
księżniczkę wesołymi pieśniami.

Na drugi dzień wszakże⁸⁷ księżniczka wsta-
ła z łoża smutniejsza jeszcze i bledsza.

— Ojczy mój! — rzekła. — Miałam dziś
sen dziwniejszy jeszcze od poprzedniego! Śniło
mi się, że perły mego naszyjnika krążyć zaczy-
niają nad moją głową, niby rój różanozłotych
świętojańskich robaczków, i taką wydzwaniają
piosenkę:

Mienimy się barwą, mienimy się bar-
wą
Różaną i złotą,
Nie darmo pojone, nie darmo karmione
Rusałek tęsknotą...

A piosenka ta tak była rzewna i żałosna, że
gdy obudziłam się, wezglowie mego łoża mo-

⁸⁶*truwer* — śpiewak, poeta nadworny. [przypis autorski]

⁸⁷*wszakże* (daw.) — jednak. [przypis edytorski]

kre było od łez. Nie, nie włożę więcej tych klejnotów!

— Sny bywają czasem smutne, a czasem wesołe, Roksano — uśmiechnął się król — ale nie powinnaś myśleć o nich, skoro już pierzchły. Sen jest jak mgła jesienna, a któż myśli o szarych dniach, gdy świeci słońce?

I, by rozweselić księżniczkę, kazał czynić przygotowania do wielkiej uczyty.

Następnego dnia jednak księżniczka Roksana nie podniosła się wcale z łoża, zatrwożeni lekarze na próżno próbowali przywrócić jej siły. Sen, który nawiedził ją tej nocy, tak ją przeraził, że zapadła ciężko na zdrowiu. Śniło się jej, że rubiny jej naszyjnika unosić się poczynają w górę, coraz gorętszym, coraz mocniejszym blaskiem się mieniając, a później ciężko opadają niby wielkie purpurowe krople krwi i jedne o drugie uderzają, i taką wydzwaniają piosenkę:

Purpurą i ogniem, purpurą i ogniem
Kamienie się mienia,

Nie na darmo pojone, nie na darmo kar-
mione
Krwi młodej czerwienią...

I wtedy szmaragdy i perły wraz z nimi unosić się i opadać, i krążyć poczynają, i tańczą jakiś dziwny taniec, i wydzwaniają dziką i straszną, i żalosną melodię, to jak płacz, to jak śmiech brzmiącą.

Teraz dopiero król Zygmunt zasmucił się i przestraszył bardzo, ale mimo że kazał zabrać klejnoty do skarbcza, dziwne sny nie tylko nie przestały dręczyć księżniczki, ale nawiedzać poczęły króla i jego rycerzy.

Nocą zdawało się wszystkim, że słyszą na schodach ze skarbcza wiodących ciche dzwonienie: to kamienie długim tęczowym korowodem wychodziły z podziemi i biegly w górę, do komnat królewskich.

Przerażony i zgnębiony król kazał klejnoty owe zamknąć w żelaznej skrzyni i rzucić w pobliskie jezioro.

Ale, szlachetni panowie, nie tak łatwo pozbyć się było owych zaklętych kamieni...

Tej samej nocy jeszcze rybacy znad jeziora usłyszeli dziwne dzwoneczki.

To pewnie panny wodne⁸⁸ swe kozy na przybrzeżne łąki pędzą — pomyśleli i zdjęci ciekawością wychylili się ostrożnie z chaty, by się owemu wodnemu bydełku przypatrzeć. Nie były to jednak kozy wodne.

To zaczarowane kamienie wychodziły z głębi jeziora i lśniąco-cudownymi barwami węzłem do zamku królewskiego biegly...

Cały zamek opanowała taka trwoga, że gdy tylko zmrok zapadł, nikt nie śmiał sam w ciemnej komnacie zostać, a strażnicy pełniący warty chronili się do izb czeladnych, byle szmer zasłyszawszy.

Próżno Gotfryd starał się dodać im otuchy. Próżno gniewał się lub zawstydział. Najdzielniejsi żołnierze odpowiadali mu, że goto-

⁸⁸*panna wodna* (mit.) — rusalka, nimfa wodna rzucająca czar na podróżnych.
[przypis edytorski]

wi zawsze stawić czoło nieprzyjacielowi, ale nie czarom i złym duchom.

Najbardziej jednak ze wszystkich cierpiała księżniczka Roksana, ją bowiem najczęściej i najuparciej nawiedzały złe sny. Toteż choroba jej zatrwajająca czyniła postępy, a lekarze obawiać się już o jej życie poczęli.

Biedny król całe dni spędzał u łoża ukochanego dziecka, na którego głowę sam takie nieszczęście ściągnął, a Gotfryd widząc, jak ponad wszystko umiłowana dziewczeczka z dnia na dzień słabsza się staje i bledsza, bezsilnie ścisnął pięści, nie wiedząc, jak ją ratować.

Aż pewnej nocy przypomniał sobie nagle, iż mówiono wśród służby zamkowej, że karzeł przez uzdrawiacza umarłych kamieni z klejnotami przysłany nie mógł sam wora ze złotem, którym go król obdarzył, dźwignąć i poprosił, by mu dano do pomocy pachółka. Pachółek ten więc musiał wiedzieć, gdzie uzdrawiacz umarłych kamieni mieszka. Któż zaś, jeśli nie czarnoksiężnik ten, rzucił złowrogie zaklęcie na królewskie klejnoty? Nie tracąc więc chwili cza-

su podniósł się Gotfryd z łoża, kazał giermkowi podać sobie miecz i zbroję, osiodłać konia i przywołać owego pachółka, który miał mu służyć za przewodnika.

*

Dom uzdrowiacza umarłych kamieni stał daleko za miastem, w zupełnym pustkowiu, wysokim murem otoczony. Na próżno jednak Gotfryd szukał w murze tym furty jakowejś, do której mógłby zapukać. Nie było w nim żadnej bramy ni żadnego wyłomu. Zupełnie jak gdyby nikt tu nie wchodził i stąd nie wychodził.

— Czy nie widziałeś, którędy dostał się do wnętrza karzeł? — zapytał pachółka Gotfryd.

— Nie, panie! — odparł pachółek — Gdy tylko doszliśmy do muru, dał mi on złotą monetę i kazał mi iść precz, co uczyniłem bardzo chętnie, gdyż prawdę powiedziawszy ten mały czarny diabeł podobał mi się jeszcze mniej od swego pana i byłem szczęśliwy, gdym się znalazł żywy i cały w zamku.

Widocznie mur ten otwierał się tylko na głos zaklęcia — pomyślał Gotfryd. — Ale jest to przeszkoda zbyt drobna, aby mogła mnie zatrzymać!

I niewiele myśląc przywiązał konia do drzewa, a sam począł piąć się po murze w górę, czepiając się to wystających gdzieniegdzie cegieł, to dzikich pnączy, które go pokrywały. Że zaś nie darmo wspinał się niegdyś z pastuszkami na niedostępne skały i urwiska, więc nie mięło kilka pacierzy, a był już na szczycie muru.

Noc była jasna, choć czasem chmury przesłaniały księżyc, toteż Gotfryd mógł widzieć wyraźnie z tej wysokości dom czarnoksiężnika i dziki, zapuszczony ogród, który go otaczał. A dziwny to był dom! Cały z czarnego granitu, bez okien i drzwi, zdawał się być raczej wielką, gładko ociosaną bryłą niż czyimś pomieszczeniem.

Nagle, wśród głębokiej ciszy nocnej, której nie mącił nawet szmer poruszanych wiatrem liści, usłyszał Gotfryd dolatujący go aż gdzieś z głębi ogrodu jakiś szczególny dźwięk. Był to

niby szum morza, niby cichy płacz, niby dalekie zawodzenie wichru.

Gotfryd uchwycił się gałęzi wielkiej, tuż pod murem rosnącej, sosny, spuścił się po niej na dół i podążył w stronę, skąd go ów dźwięk dochodził. Niedługo szukał. Nie uszedł jeszcze kilku kroków, gdy ujrzał na murawie wśród drzew młodą dziewczynę, która płakała tym dziwnym, przejmującym płaczem. Długie zielone włosy okrywały ją niby płaszczem, a wielkie łzy spływały między palcami drobnych, białych rączek, którymi zasłaniała twarz.

— Ktoś ty jest i czy mogę ci przyjść z pomocą? — zapytał Gotfryd.

Dziewczyna podniosła głowę i Gotfryd ujrzał, że oczy jej były zielone jak morze, twarzyczka przezroczysta jak alabaster, a całe ciało pokryte łuską błyszczących wszystkich barwami tęczy drogich kamieni.

— Któredy tu wszedłeś, rycerzu?! — zawołała. — Uciekaj! Uciekaj stąd natychmiast, jeśli ci życie miłe! Za chwilę nadejdzie czarnoksiężnik, a wówczas będzie za późno!

— Nie jest to zaprawdę moim zwyczajem uchodzić przed wrogiem! — odparł uśmiechając się Gotfryd. — Powiedz mi raczej, kto cię skrzywdził, że płaczesz tak żałośnie, a bądź pewna, że potrafię cię obronić i nie ulęknię się żadnego nieprzyjaciela!

— Nieprzyjaciela? Być może, rycerzu, ale tu nie człowiek nadchodzi, jeno potwór bez kłów i paszczy, potwór do olbrzymiego morskiego polipa⁸⁹ podobny, potwór, który obezwładnia każdego zielonym, czarodziejskim światłem swego oka, przyciąga i wchłania. Jeśli chcesz naprawdę mi pomóc, miast zginąć bezużyteczną i ohydną śmiercią, to wejdź co prędzej na drzewo, aby cię nie spostrzegł. Nie zapomnij jednak przywiązać się do niego mocno swym rycerskim pasem.

Gotfryd usłuchał jej rady. I zaledwie zdążył to uczynić, gdy ujrzał zbliżającego się uzdrawiacza umarłych kamieni, a za nim jego karła, który niósł ogromną żelazną skrzynię. Karzeł

⁸⁹*morski polip* (biol.) — tu: forma morfologiczna parzydełkowca lub meduzy.
[przypis edytorski]

postawił skrzynię na ziemi, podniósł jej wieko i podał swemu panu niewielką, kryształową pałeczkę, którą czarnoksiężnik nakreślił wokół siebie szerokie koło, po czym rzekł do panny o zielonych włosach:

— Córko króla morza, córko króla morza, czy chcesz dobrowolnie krwią swoją i tęsknotą, łzami karmić moje kamienie?

Dziewczyna podniosła się z ziemi i dumnie spojrzała na niego.

— Nie, nikczemny potworze! — odparła. — Nigdy królowna Liliana nie będzie ci pomagać w twoich przeklętych sztuczkach! Porwałś mnie i możesz mi zabierać przemocą krew moją i łzy moje, ale nie uczynisz ze mnie posłusznej niewolnicy.

Zaledwie jednak wyrzekła te słowa, całe ciało czarnoksiężnika poczęło tracić kształty i barwy i w końcu rozpląnęło się w wielką, galaretowatą masę o tysiącach wysuwających się i kurczących macek, masę, pośrodku której błyszczało tylko straszliwe oko, osobliwym zielonym światłem płonące.

I pod wpływem tego światła Gotfryd poczuł, że ogarnia go wielka niemoc i słabość, że niezdolny jest wydobyć miecza z pochwy, a jednocześnie jakaś niezwyciężona siła pcha go ku owemu potworowi. Gdyby nie przywiązał się pasem do drzewa, niechybnie zszedłby z niego i zginął marnie.

Tymczasem potwór patrzył na dziewczynę, która pod wpływem niemego rozkazu jego wzroku powoli uniosła ręce w górę i stanęła jak posąg nieruchomy.

A wtedy kamienie, które otaczały sznur przy sznurze całe jej ciało, opadły z niej i mieniącym się tysiącem barw węzłem do skrzyni powracać poczęły, gdy ze skrzyni drugi wąż drogich kamieni, tylko bez blasku i bez barwy, pełzać ku niej począł i opasywać ją z wolna.

Gotfryd zamknął oczy, aby nie patrzeć, a gdy roztworzył je — ani uzdrawiacza umarłych kamieni, ani karła już nie było.

Teraz dopiero powróciły mu siły i przytomność.

Odwiązał pas, ześliznął się z drzewa i wyjąwszy miecz biec chciał za nimi. Ale powstrzymał go głos rusalki:

— Co czynisz, szalony?! Czy nie widziałeś przed chwilą, że bezsilny jesteś wobec niego? Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, to posłuchaj mej rady!

Gotfryd zatrzymał się, a zielonowłosa panna zaczęła opowiadać:

— Jestem córką króla morza i nazywam się Liliana. Ten potwór czarnoksiężnik zwabił mnie razu pewnego na brzeg i porwał, aby moją krwią, łzami i tęsknotą karmić swoje kamienie. Patrz, jak topazy, szmaragdy, rubiny, perły i ametysty na ciele moim życia i blasku nabierać zaczynają. Nie mogę uciec stąd, choć nie jestem strzeżona, gdyż kamienie te siły wszystkie mi zabierają, a zdjąć je ze mnie może tylko zaklęcie czarnoksiężnika lub śmierć jego. Jeśli chcesz tedy pokonać go, to idź na brzeg morza i zawołaj trzy razy: „Królu morza! W imieniu córki twojej wzywam cię!” Wówczas ojciec mój ukaze ci się, a gdy opowiesz mu o moim nie-

szczęściu, da ci kwiat zaklętej algi. Jeśli zdołasz, Gotfrydzie, niepostrzeżenie do czarnoksiężnika podejść i dotknąć go tym kwiatem, to straci potwór ten swą moc czarnoksiężką i wtedy pokonać go możesz. Pomnij jednak, że jeśli usłyszysz szelest twych kroków, zanim dotkniesz go czarodziejskim kwiatem — będziesz zgubiony. Czy nie lękasz się?

Gotfryd nie odpowiedział jej nawet. Wspiął się na mur, spuścił się z niego na dół, dosiadł konia i pojechał w stronę morza.

Dwa dni i dwie noce jechał Gotfryd, zatrzymując się tylko z rzadka, by dać wytchnąć koniowi i posilić się nieco, aż trzeciego dnia stanął na brzegu morza. Morze dnia tego było spokojne i ciche, a wody jego zdawały się brać od nieba barwę błękitu. Ale gdy Gotfryd na złotym piasku stanąwszy po trzykroć króla morskiego wezwał, zerwał się nagle wiatr, niebo zachmurzyło się, pozieleniały i zapieniły się fale.

Zamiast jednak, jak zwykle przed burzą, z groźnym pomrukiem w górę się wznosić, na-

pastliwie o brzeg uderzać i znowu się cofać, w wielkiego węża o srebrzystej grzywie się skręciły, a wąż ten głowę, na której złota błyszcząca korona, w górę unosząc, tak Gotfryda zapytał:

— Czego żadasz, ty, który w imieniu mojej córki mnie wezwałeś, i jakie mi od niej przynosisz wieści?

— Żądam kwiatu zaklętej algi — odparł Gotfryd — a wieści smutne ci od niej przynoszę: Więzi ją potwór okrutny, uzdrawiaczem umarłych kamieni się mieniący. Nie rozpaczaj jednak, królu morza. Da Bóg, że przy pomocy owego cudownego kwiatu oswobodzić mi się ją uda.

Gwizdnął przeciągle król morza.

A na to gwizdnięcie wychyliła się z wody rusalka w wieńcu z gwiazd morskich na głowie i pokłoniwszy się królowi zapytała:

Królu mój i wodny panie!

Oto jestem na żądanie!

Czy na okręty mam rzucić zaklęcie?

Czy pereł szukać w zielonym odmęcie⁹⁰?

⁹⁰*odmęt* — wzburzona, głęboka woda [przypis edytorski]

Czy muszel barwnych przynieść ci z od-
dali?

Czy z wodorostów wieniec lub z koralu?

A odparł jej król:

W ogrodzie moim, przez węże strzeżony,
Rośnie kwiat dziwny, od innych odmien-
ny.

Przynieś, rusalko, kwiat zaklętej algi.

Kwiat, co zabija — morza cud płomienny!

Znikła w falach morskich rusalka i po chwili wynurzyła się znowu, trzymając w ręku czarodziejski kwiat, od którego blaski szły przedziwne, ogniste i purpurowe.

I zaledwie Gotfryd wziął go do ręki, niebo wypogodziło się, wiatr ucichł, morze pobłkitniało, a król morski i rusalka zniknęli bez śladu. Dosiadł więc Gotfryd swego rumaka i w powrotną drogę wyruszył.

Noc była znowu głęboka, gdy przed murem dom czarnoksiężnika otaczającym zatrzymał się i tak jak poprzednio do ogrodu się do-

stał. Radośnie, choć blada i trwożna, powitała swego zbawcę królewna Liliana.

— W sam czas przybywasz, Gotfrydzie! — rzekła. — Czarnoksiężnik uczy teraz swe kamienie zaklętego tańca, którym dręczą one później ludzi. Jest on zwykle tak pochłonięty tym zajęciem, że nie zwraca uwagi na to, co się wkoło niego dzieje, i najłatwiej ci będzie podejść do niego niepostrzeżenie. Znajduje się on w domu swym, którego ściany rozsuną się przed tobą, gdy tylko dotkniesz ich czarodziejskim kwiatem. Idź tedy, niech ci Bóg szczęści w tej walce!

Wyjął miecz swój Gotfryd i do domu podszedłszy ściany jego kwiatem algi dotknął. Ściana rozsunęła się przed nim cicho i bezszelestnie i Gotfryd wszedł do wnętrza.

Minąwszy sal kilka, czerwonym światłem, nie wiadomo skąd płynącym, oświetlonych, o ścianach w dziwaczne arabeski⁹¹ ze znaków czarnoksiężskich malowanych, znalazł się wreszcie

⁹¹*arabeska* — symetryczny ornament roślinno-geometryczny. [przypis edytor-ski]

Gotfryd w sali, z której już z daleka dolatywał go dźwięk fletu. Na środku owej sali paliło się ognisko, którego płomień to purpurowy, to zielony, to żółty, to fioletowy się stawał. W jego migotliwym świetle ujrzał Gotfryd czarnego karła, który z podwiniętymi nogami przy nim siedząc, na małym złotym fleciku wygrywał. Za nim stał czarnoksiężnik z kryształową pałeczką, którą już Gotfryd w ogrodzie raz widział, w dłoni i dziwne jakieś wykonywał znaki.

W takt to tych znaków właśnie zdawała się dźwięczyć muzyka karła i w takt tych znaków podnosiły się ze skrzyń pod ścianami stojących, niby snopy kolorowych iskier, drogie kamienie i opadały w nie znowu, dzwoniąc cicho. A był on tak pochłonięty tym zajęciem, że, jak przepowiedziała królowna, nie spostrzegł wejścia Gotfryda i obrócił się dopiero wtedy, gdy Gotfryd kwiatem algi go dotknął.

Zaryczał z wściekłości potwór i miecz swój z pochwy wyrwawszy na Gotfryda się rzucił. Ale nie było jeszcze takiego rycerza, który by „Zwycięzcę” pokonał. I nie minęło kilka pa-

cierzy, a uzdrawiacz umarłych kamieni martwy u stóp wroga leżał.

Wybiegł do ogrodu Gotfryd, by królownie morskiej radosną nowinę zwiastować, aliści zastał ją od czaru okrutnego uwolnioną.

— Gotfrydzie — zawołała. — Wiedz, że masz odtąd we mnie i w ojcu mym przyjaciół najwierniejszych; weź ten pierścień na pamiątkę od morskiej królowny.

Pozegnał się z nią Gotfryd i do zamku po-
dążył, gdzie go już uzdrowiona księżniczka i dwór
cały niecierpliwie oczekiwał.

A nie wiedział wcale, że pierścień, który od królowny otrzymał, dawał mu władzę tajemną nad morzem.

**WRÓŻKA WIWIANA OBDARZY GO
AMETYSTEM MOC CUDOWNĄ I TA-
JEMNICZĄ MAJĄCYM...**

O księciu Gotfrydzie opowieść dziesiąta

Było starym obyczajem na dworze króla Zygmunta, że rycerze, zabawiając się przy kielichach, wdzięki swych dam chwalili i że każdy z nich opowiadał, jakich czynów na cześć pani swej dokonać byłby gotów.

Była to zabawa bardzo przez rycerzy lubiana i każdy z nich starał się towarzysza w przechwałkach prześcignąć.

I tym razem, szlachetni panowie, bawiono się bardzo wesoło i żaden rycerz nie chciał ustąpić drugiemu w rycerskim animuszu⁹² i fantazji.

Rzekł tedy hrabia Artur, „Zapalczywym” zwany:

— Piękna, najpiękniejsza ze wszystkich dam jest pani moja, Blanka o promiennych oczach, i na jej cześć gotów jestem wyzwać i pokonać siedmiu rycerzy, nie po kolei, a jednocześnie ze wszystkimi walcząc.

— Niewielki zaprawdę byłby to czyn, zbyt mały, by uczcić panią moją, Jolantę o srebrnym głosie i białych dłoniach — rzekł na to

⁹²*animusz* — zapal i odwaga. [przypis edytorski]

zaraz Jan, rycerz młody i pełen dworności, dla wdzięcznej swej postaci „Pięknym” zwany. — Co do mnie, to gotów jestem, by uczcić mą panią, samotnie w łódeczce rybackiej przejechać przez zatokę Morskich Potworów, a wiadomo wam wszystkim, że w zatokę tę największy i najmocniejszy statek zapuścić się nie odważy. Co mówię! Gotów jestem przepłynąć ją, nie zważając ani na wiry, ani na głębie, ani na wodne potwory.

I tak przechwalali się jeden przez drugiego. Jeden tylko Gotfryd milczał.

Zapytał go tedy król Zygmunt, który z dobrotliwym uśmiechem zabawie rycerzy się przysłuchiwał:

— No a ty, Gotfrydzie, jakiego czynu gotów byłbyś na cześć córki mej, księżniczki Roksany, dokonać?

— Myślę nad tym, najjaśniejszy panie — rzekł Gotfryd — ale doprawdy nie mogę znaleźć niczego, co godne by było złotowłosej pani mojej. Chyba że poszedłbym dla niej po zaklę-

ty kwiat ametystu? Ale wydaje mi się, że i ten czyn byłby zbyt mały, by być jej godnym?

— Cóż to za zaklęty kwiat ametystu? — zapytał zdziwiony król. — Nigdy o takim nie słyszałem.

— Czy być może, królu? — rzekł Gotfryd. — A przecież kwiat ten rośnie na granicy twego państwa, na wysokiej górze, zwanej „Niedostępna”. Posadził go tam król gór i otoczył weńcem olbrzymich ogni, których pilnuje córka jego, wróżka Wiwiana. Ten tylko rycerz zerwać go może, który bez lęku przez ogień ów przejdzie. Jeśli jednak zadrży mu choć na chwilę serce, gdy w płomienie będzie wstępował, spalą go one na popiół.

— Słyszałem i ja o tym kwiecie — rzekł stary burgrabia zamkowy. — Pręciki jego są złote, płatki mają barwę i przejrzystość ametystu, a liście mieniają się wszystkimi barwami tęczy. Kwiat ten ma nadto moc czarodziejską i ten, który go posiada, rozumie mowę kwiatów, drzew i ptaków: może jednym jego dotknięciem przywracać zdrowie chorym, czynić

urodziwymi szpetnych i młodymi starców. Zai-
ste piękny to czyn obmyślił Gotfryd ku czci
naszej księżniczki!

Ale Arnold z Trevilu, który nie mógł nigdy
darować Gotfrydowi, że ten pacholęciem jesz-
cze będąc pokonał go w oczach króla i wszyst-
kich rycerzy, przebrawszy swoim zwyczajem mia-
rę w kielichach, roześmiał się grubiańsko i tak
się z Gotfryda wyśmiewać począł:

— Prawdę rzekł burgrabia, że piękny ob-
myślił Gotfryd ku uczczeniu swej damy czyn.
Choć prawdą jest i to, że łatwiej przy kielichu
się przechwalać, niż uczynić to, co się obiecało!

Pobladł z gniewu Gotfryd, a król Zygmunt
do Arnolda się odezwał:

— Nieprzystojne są, grafie Arnoldzie, two-
je słowa i nierozumne wcale! Wiadomo wszyst-
kim, że Gotfryd Zwycięzca nieustraszonego i nie-
złomnego jest serca. Toteż jeśli nawet przesa-
dził nieco, ofiarowując córce mej czyn, którego
żaden człowiek dokonać nie jest w stanie (któż
bowiem nie zadrzy choć na chwilę wstępując
w płomienie?), to uczynił to chcąc swą cześć

i miłość dla niej pokazać. Zresztą i inni rycerze przechwalali się tu czynami, których dokonanie nie jest w ich mocy, i cała ta zabawa na przechwałkach polega.

Ale Arnold z Trevilu tak królowi odparł, z wielkiego dzbana miód złoty zapijając, choć, jak już rzekłem, dawno przebrał miarę:

— He! He! Miłościwy królu! Wiem ja to dobrze, że zabawa ta na przechwałkach polega, ale he! he! i dla przechwałek są pewne granice! Inaczej bowiem, dlaczegóż nie miałby rzecz Gotfryd: „Wyrwę najwyższą sosnę, która rośnie w ogrodzie zamkowym, zegnę ją na końcu w hak, postawię dwie góry jedną na drugiej i wszedłszy na nie zdejmę owym drągiem księżyc z nieba i księżniczce go ofiaruję. Będzie go sobie jako medalion⁹³ na złotym łańcuchu nosiła... He! He! To byłby dopiero czyn godny księżniczki Roksany!...”

Nie mogli się powstrzymać od śmiechu rycerze i sam król roześmiał się nawet, ale Got-

⁹³*medalion* — ozdobne, owalne pudełeczko z miniaturą lub inną pamiątką w środku. [przypis edytorski]

fryd, do drwinek i żartów z siebie nie przywykły, gniewem wielkim zakipiał i od stołu powstając rzekł:

— Mylisz się, grafie Arnoldzie, za próżną przechwałkę słowa moje biorąc! Mylisz się! Wiedz bowiem, że wyruszam natychmiast na Górę Niedostępną i albo zginę, albo przyniosę księżniczce cudowny kwiat ametystu!

Przestraszył się król widząc, że sprawa zły obrót przybiera, i powiedział:

— Nerozsądnie chcesz sobie postąpić, Gotfrydzie, dla próżnej chwalby⁹⁴ życie swe narażając. Co innego bowiem jest w obronie uciśnionego głowy nadstawić, a co innego dla nierozumnej przechwałki.

I byłby Gotfryd uspokoił się i zamiaru swego zaniechał, gdyż czuł w głębi serca słusność słów królewskich, gdyby Arnold z Trevilu tak się nie odezwał:

— Pozwól mu, najjaśniejszy panie, na ową górę jechać, a niech nie zapomni wziąć ze sobą

⁹⁴*chwalba* (daw.) — przechwalanie się. [przypis edytorski]

sosny, to może za jednym zamachem he! he!
księżyc przywiezie!

Nie pomogły już teraz żadne prośby ani perswazje⁹⁵ królewskie. Gotfryd nikogo słuchać nie chciał, a w końcu chcąc kres położyć próżnym gawędom rzekł:

— Klnę się rycerskim słowem, że dziś jeszcze z zamku wyruszę i jeśli nie zginę, kwiat ametystu księżniczce przywiozę!

Tedy nie mógł już nikt mu się sprzeciwić, bo słowo rycerskie rzecz święta i kto go nie zdierży, na wzgardę i śmiech podać się musi. Pożegnał się Gotfryd z królem i jego rycerzami, a król Zygmunt głowę jego do piersi przytulając rzekł:

— Wiesz o tym, że myślałem już od dawna córkę moją za żonę ci dać i następcą po sobie uczynić. Jeśli tedy żyw powrócisz, w zamian za kwiat ametystu rękę księżniczki otrzymasz.

Uradował się bardzo Gotfryd i zawołał:

⁹⁵*perswazja* — przekonywanie z przytoczeniem odpowiednich argumentów.
[przypis edytorski]

— Królu miłościwy! Choćby niejednym, ale stu kręgami ognia kwiat ów był otoczony, żyw i cały powrócę. Jakżeby bowiem zadrzeć miało mi serce, gdy wiem, że taką otrzymam nagrodę?

I z pośpiechem wielkim w drogę się puściwszy w niedługim czasie u stóp Góry Niedostępnej się znalazł.

Śmiało i wesoło wspinał się na nią Gotfryd, o niedalekiej przyszłości, gdy jako zwycięzca do zamku powróciwszy rękę ukochanej otrzyma, rozmyślając.

Śmiało i wesoło wieniec płomieni straszliwych, co kwiat czarodziejski otaczały, wzrokiem objął — i bez drzenia w nie wstąpił.

Rozstąpiły się przed nim płomienie i Gotfryd ujrzał cudowny kwiat ametystu. W milczeniu i podziwie wielkim przyglądał się długą chwilę piękności jego rycerz, po czym rękę, by go zerwać, wyciągnął.

W tej samej jednak chwili poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia, i odwrócił się.

Za nim stała cudna pani, o oczach barwy ametystu, w lekkiej, powiewnej szacie, z tęczowymi skrzydłami u ramion, i patrzyła na niego błagalnie.

— Gotfrydzie! — rzekła. — Błagam cię, nie tykaj tego kwiatu! Kwiat ten jest kwiatem mego życia i ojciec mój dlatego go wieńcem ogni otoczył, by mnie przed niebezpieczeństwem ochronić. Jeśli go zerwiesz, będę musiała umrzeć...

— Piękna pani! — odparł jej wzruszony Gotfryd. — Zaprawdę możesz być pewna, że nie tknę tego kwiatu. Powrócę, skąd przyjechałem, i ani król Zygmunt, ani księżniczka Roksana nie będą mi mieli za złe, że z niczym powróciłem, gdy to, co od ciebie usłyszałem, im opowiem.

— Niestety, szlachetny rycerzu — rzekła królewna górska — jeśli im powiesz, z jakiej przyczyny nie zerwałeś tego kwiatu, będę musiała umrzeć, jak gdybyś go zerwał. Trzeba bowiem wiedzieć, że jeśli znajdzie się rycerz, któremu uda się przejść przez wieniec ogni, kwiat ametystu chroniący, nie wolno mi go prosić

o łaskę i gdyby wróżka Merlina, królowa wszystkich wróżek, dowiedziała się, że to uczyniłam, musiałabym zginąć. Poświęcenie twe, Gotfrydzie, musi pozostać dla wszystkich tajemnicą. Powiedz królowi i Roksanie, żeś powrócił z niczym, gdyż wieniec ogni straszliwych ujrzawszy nie odważyłeś się w nie wstąpić.

— Jak to! — zawołał Gotfryd. — Ja, rycerz, którego „Niezwyciężonym” i „Niezlomnym” zowią, mam się o tak nędzne tchórzostwo oskarżać? Ja — Gotfryd Zwycięzca, mam wobec całego rycerstwa wyznać, że słowo moje złamał? Toż stałbym się na zawsze wszystkich rycerzy pośmiewiskiem! Czyż nie rozumiesz, Wiwiano, że nie mogę tego uczynić?!

— To prawda — odparła cicho Wiwiana — nie możesz tego uczynić. Cóż by się bowiem stało z twoją sławą rycerską? Nie, nie mam prawa od ciebie żądać takiego poświęcenia! Zerwij zatem kwiat, który zdobyłeś. Widzę, że muszę umrzeć.

Ale Gotfryd stał cichy i nieruchomy, głęboko nad czymś rozmyślając.

— Nie, Wiwiano! — rzekł wreszcie. — Nie zerwę tego kwiatu. Gdybym go zerwał, popełniłbym czyn podły, prawego rycerza niegodny!

— Jeśli go jednak nie popełnisz — rzekła wróżka — wszyscy cię podłym mienić będą!

— Tak... — szepnął rycerz, ale natychmiast wyprostował się dumnie i dodał: — I cóż z tego, Wiwiano? Czyż ulęknę się drwin i śmiechów? Czyż dlatego, by miana tchórza uniknąć, stanę się nim rzeczywiście? Czyż dla próżnej przechwałki życie twoje poświęcę, zbrodnię ohydną popełniając? Nie! Zaprawdę, nie uczynię tego!

— A Roksana? — zapytała królowna górska. — Cóż pomyśli o tobie Roksana?

— Roksana... — powtórzył Gotfryd. — Roksana... To prawda. Zapomniałem o niej! Roksana odwróci się ode mnie ze wzdardą jak od nędznego tchórza! Wiwiano! Wiwiano! Nie mogę tego czynić! Wolałbym stokroć umrzeć, niż ją utracić!

— Widzisz więc sam, że mam słuszość, Gotfrydzie. Nie wahaj się dłużej. Weź za ten kwiat pierścień księżniczki i bądź szczęśliwy! Ja sama zerwę go dla ciebie.

I wyciągnęła rękę po kwiat cudowny, ale Gotfryd dłoń jej zatrzymał.

— Nie mógłbym być szczęśliwy, Wiwiano — zawołał — wiedząc, że szczęście moje okupiłem śmiercią! Nie mógłbym nigdy spojrzeć w oczy Roksanie wiedząc, że zdobyłem ją za cenę zbrodni! Wolę, by Roksana pogardzała mną niesłusznie, niżby miała prawo mną pogardzać. Żegnaj, Wiwiano!

— Żegnaj, Gotfrydzie! — rzekła wróżka widząc, że postanowienie Gotfryda jest niezmiennne. — Nie zapomnę nigdy, że ocaliłeś mi życie. Weź ten pierścień królowny górskiej, która cię kocha jak brata, i pamiętaj, że masz na zawsze we mnie siostrę i przyjaciółkę.

Wziął tedy z jej rąk Gotfryd złoty pierścień z ametystem, ale kładąc go na palec tak myślał:

Obym cię nigdy nie posiadał! Utraciłem bowiem przez ciebie pierścień stokroć droższy,

pierścień, który dać mi miała ukochana pani moja, księżniczka Roksana!

Nie rzekł jednak głośno ani słowa, gdyż nie chciał ranić daremnymi skargami serca Wiwiany, i podziękowawszy jej za dar w drogę wyruszył.

Gdy straż na wieży zamku króla Zygmunta stojąca ujrzała zbliżającego się do zamku Gotfryda i dała o tym znać królowi i księżniczce, którzy w niepokoju i trwodze na niego oczekiwali, uradował się bardzo król i kazał się zebrać swoim wszystkim wasalom w wielkiej sali tronowej. Po czym, na tronie swym królewskim zasiadłszy, w te odezwał się słowa:

— Za chwilę przybędzie tu, szlachetni panowie, Gotfryd Zwycięzca, chcę więc, byśmy go godnie powitali i by w obecności nas wszystkich za cudowny kwiat, który zdobył, przez wieńiec ogni straszliwych przechodząc, z rąk córki mojej wziął nagrodę!

— Nie wiadomo jeszcze, czy Gotfryd kwiat ametystu zdobył czy też z niczym do nas powraca! — mruknął Arnold z Trevilu.

Ale choć nie śmiał głośno słów tych wyrzec, usłyszało je kilku najbliżej stojących rycerzy i zgromiło go surowo:

— Gniew to i zazdrość zaślepiają cię, Arnoldzie, i takie dyktują ci słowa! Wiesz bowiem dobrze, że choć żaden z nas po kwiatów nie wyruszyłby, to wyruszywszy i słowem rycerskim się związawszy, wolałby umrzeć, niż z niczym powrócić! Jak śmiesz więc Gotfryda Zwycięzcę o tak haniebne tchórzostwo podejrzewać.

Zawstydził się tedy Arnold i umilkł. A w tej chwili właśnie paziowie roztworzyli szerokie podwoje⁹⁶ sali tronowej i przed królem Zygmuntem i Roksaną stanął Gotfryd.

Nie wszedł jednak dumnie i z podniesionym czołem, jak zwycięzcy przystoi. Smutny wszedł i blady z głową na piersi opuszczoną, oczu na króla i na księżniczkę, która go z twarzą rozjaśnioną witała, podnieść nie śmiejąc.

— Bądź pozdrowiony, Gotfrydzie! — rzekł król. — Bądź pozdrowiony, rycerzu Niezłom-

⁹⁶podwoje — okazałe, dwuskrzydłowe drzwi. [przypis edytorski]

ny i Nieustraszony! Widzę, że nie ma siły zdolnej cię pokonać, a serce twoje nie wie, co to lęk i trwoga! Ofiaruj córce mojej dar, który dla niej zdobyłeś, a ty, Roksano, pierścień swój zaręczynowy mu oddaj.

Tak mówił Zygmunt, ale Gotfryd stał dalej smutny i milczący, oczu na nikogo nie podnosząc, jak gdyby słów królewskich nie słyszał.

Zdziwił się król.

— Cóż to znaczy, Gotfrydzie? — zapytał. — Czy nie miła ci nagroda, która cię czeka? Czy może już nie kwitnie na Górze Niedostępnej zaklęty kwiat ametystu?

I odparł mu Gotfryd:

— Milsza mi ponad życie byłaby taka nagroda i po dawnemu kwitnie na Górze Niedostępnej zaklęty kwiat ametystu. Jeno nie zdobyłem kwiatu tego, królu, i nie mam prawa do pierścienia księżniczki Roksany.

Zdziwił się tedy jeszcze bardziej król Zygmunt.

— Cóż się więc stało, Gotfrydzie, że z niczym powracasz? Jakaż to powstrzymała cię przeszkoda?

Spuścił jeszcze niżej głowę Gotfryd, wahał się chwilę, jakby słowa, które miał wymówić, przez gardło mu przejść nie chciały, po czym głosem cichym odparł:

— Królu najjaśniejszy! Gdym ujrział wieńiec ogni ogromnych na Górze Niedostępnej, wokół zaklętego kwiatu płonących, zadrżało we mnie serce, poznałem, jak zuchwały był mój zamiar, i ulękłszy się śmierci straszliwej z niczym odjechałem...

W zdumieniu głębokim spoglądali po sobie rycerze.

— Czy dobrze słyszę? Czy to Gotfryd Zwycięzca wyrzekł te słowa haniebne, ust rycerza żadnego niegodne?

Gdyby ktoś inny je powiedział, wybuchłyby śmiechy i drwiny, dano by mu kądziel i wrzecziono i z grona rycerzy precz wygnano. Ale sława Gotfryda tak była wielka, że wszyscy stali niemi i osłupiali, wstydem dziwnym zdjęci.

Hańba tego najznakomitszego z ich grona rycerzy tak ich dotknęła, że zdawało się im, iż na całej drużyny spada ona głowy. Nawet Arnold z Trevilu drwić ani śmiać się nie odważając milczał posępnie, a król Zygmunt, którego czyn Gotfryda, nie tylko jako wodza drużyny jego rycerskiej, ale jako rycerza córki jego, księżniczki Roksany, podwójnie obrażał, ani słowem się nie odezwał. I w całej tej ogromnej i ludnej sali taka zapanowała cisza, że zdawać by się mogło, iż nie ma w niej nikogo.

Pobladł jeszcze bardziej Gotfryd, bo była ona cięższa niż śmiech i wyrazy potępienia, i poczuł się samotny i opuszczony, jak gdyby nie wśród towarzyszy, którzy mu wczoraj jeszcze przyjaciółmi byli, ale na pustyni jakowejś się znajdował.

Aliści nagle wśród ciszy grobowej głos się dźwięczny i silny córki królewskiej, księżniczki Roksany, odezwał:

— Zaprawdę, nie wierzę ci, Gotfrydzie!

Drgnęli wszyscy rycerze i oczy ku wzniesieniu, na którym obok tronu ojca swego sie-

działa księżniczka Roksana, podnieśli, a Gotfryd zadrżał cały i po raz pierwszy, od czasu jak przybył, w twarz ukochanej spojrział.

I powtórzyła raz jeszcze księżniczka:

— Zaprawdę, nie wierzę ci! Nie wiem, dlaczego bez kwiatu ametystu tu powróciłeś, wiem jednak, że nie nędzne tchórzostwo było tego przyczyną. Nie żądam od ciebie, byś się z postępowania swego wytłumaczył, bo widzę, że tego uczynić nie możesz. Kocham cię i ufam ci, i pierścień mój należy do ciebie!

Postąpił ku księżniczce kilka kroków Gotfryd, do stóp jej się osunął i głowę na jej kolanach ukrywszy jak dziecko zapłakał.

I rzekła doń Roksana: — Małego serca są ludzie, co pierwszemu oskarżeniu na przyjaciela rzuconemu wierzą, choćby ono z własnych ust jego wyszło! Czyż nie byłeś ich towarzyszem w wyprawach niezliczonych, towarzyszem spośród wszystkich najwaleczniejszym? Czyż nie dokonałeś czynów tak sławnych, że żaden rycerz pochłubić się takimi może? A oto uwie-

rzyli bez wahania w twą hańbę i potępili cię w sercu swoim.

I zawstydzili się bardzo rycerze. Jakżesz to mogli choć na chwilę Gotfryda o nikczemne tchórzostwo posądzić? Czyż nie powinni byli zrozumieć, że kryje się tu tajemnica, że pieczęć jakaś usta Gotfrydowi zamyka? Czy nie powinni byli oskarżenia, które na siebie rzucił, śmiechem powitać i towarzyszowi miłemu zaufać, o przyczynę niepowodzenia jego wyprawy nie pytając? Otoczyli go tedy kołem i w ramiona biorąc, i ręce mu ściskając o przyjaźni swej niezmiennej zapewniać zaczęli.

Nagle dziwne jakieś, tęczowe światło rozlało się po całej sali, a gdy zdumieni rycerze obrócili się, by zobaczyć, skąd idą te blaski cudowne, ujrzeli przed sobą złotowłosą panią, o oczach barwy ametystu, z tęczowymi skrzydłami u ramion i kwiatem zaklętym w dłoni.

— Nie chciałam, byś cierpiał zbyt długo, Gotfrydzie — rzekła pani owa z uśmiechem na Gotfryda i Roksanę patrząc — i przybyłam towarzyszom twoim i księżniczce Roksa-

nie o czynie twoim rycerskim opowiedzieć. Widzę wszakże, iż zbędne jest świadectwo wrózek temu, kto posiadał kochające i ufne serce księżniczki Roksany. Posłuchajcie mnie jednak, królu Zygmuncie, księżniczko i wy, szlachetni rycerze, gdyż chcę, by czyn Gotfryda wszystkim był znany i ku wiecznej służył rycerzom nauce. Jestem królowną górską, a ojciec mój posadził na Górze Niedostępnej cudowny kwiat ametystu. Chciał on jednak, by kwiat ten nie tylko najmężniejszemu, ale i najszlachetniejszemu dostał się rycerzowi, i dlatego kazał mi rycerza, który by przez wieniec ogni z sercem nieustraszonym przeszedł, stokroć cięższej poddać próbie. Nie wroga żadnego, ale własną pychę i próżność miał on zwyciężyć. Powiedziałam więc Gotfrydowi, aby się przekonać, czy prawdziwie rycerską ma duszę, że kwiat ametystu jest kwiatem mego życia i że jeśli go zerwie, będę musiała umrzeć. Powiedziałam mu także, że jeśli o poświęceniu, które dla mnie uczynił, komukolwiek opowie, wówczas również śmierć mnie czeka niechybna, gdyż zła-

małam prawo czarodziejskie, o łaskę go prosząc. I zwyciężył swą pychę i próżność Gotfryd. Wolał na śmiech, hańbę i wzgardę raczej się podać niż czyn nierycerski popełnić. Zwyciężył samego siebie. Najpiękniejsze to jest zwycięstwo! Weź, Gotfrydzie, kwiat ten, który teraz naprawdę dopiero zdobyłeś, i daj go Roksanie, pani swojej, gdyż i jej on się słusznie za serce mężne, ufne i kochające, które cię ani na chwilę nie opuściło, należy!

Wziął tedy Gotfryd z rąk wróżki cudowny kwiat ametystu i księżniczce Roksanie go podał.

A nie wiedział nic o tym, że pierścień, który mu dała Wiwiana, moc miał cudowną nad górami, jak to w następnej opowieści, szlachetni panowie, zobaczycie.

TYRANA, CO TRONEM JEGO POD-
STĘPNIE ZAWŁADNAŁ, WYPĘDZI
I DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE PANO-
WAĆ BĘDZIE...

O księciu Gotfrydzie opowieść jedenasta

Gdy to wszystko się działo na dworze króla Zygmunta, kraj księcia Gotfryda jęczał pod jarzmem okrutnych rządów Geralda. Książę ten dbał jeno o wspaniałe uczyty i kosztowne stroje, otaczając się takim przepychem, że nawet bogaty skarbiec królewski wydołać mu nie mógł. Wówczas obarczył on lud wielkimi daninami⁹⁷, a jeśli i tych nie starczyło, napadał na wioski własnych poddanych, paląc je i grabiąc gorzej od nieprzyjaciela. Na domiar złego, nie znośjąc, by ktokolwiek sprzeciwiał się jego zarządzeniom i ganił je, odsunął od siebie wszyst-

⁹⁷*danina* — obowiązkowe świadczenie uiszczane przez poddanych. [przypis edytorski]

kich prawych i szlachetnych rycerzy, otoczywszy się zgrają nędznych służalców i pochlebców.

Źli doradcy podjudzali go do coraz większych gwałtów i coraz ostrzejszych prześladowań przeciw opornym, tak że wszyscy niemal rycerze ojca księcia Gotfryda musieli kryć się po lasach, gdyż żaden z nich nie mógł być pewny ani życia, ani mienia.

Owi doradcy również, przez nierozumne, a chępliwe jątrzenie, uwikłali go w szereg wojen z sąsiadami, wojen, które kraj cały, tak niegdyś kwitnący, do ostatecznej doprowadziły ruiny.

Z zamierającym z bólu sercem patrzył na niedolę i nędzę swego kraju pierwszy niegdyś w radzie królewskiej, a dziś tułacz bezdomny i jutra niepewny, Roland Prawy. I wreszcie w sercu jego zrodziło się niezłomne postanowienie: choćby miał przewędrować świat cały, musi prawdziwego tronu następcę, księcia Gotfryda, odnaleźć i rządowi tyrańskiemu kres położyć! Wprawdzie bowiem król Gerald Okrutny ogłosić kazał, że

bratanek jego utonął podczas przejażdżki na morzu, to jednak w sercach ludu i rycerstwa żyła wciąż nadzieja, iż ukrył się on tylko przed prześladowaniem stryja i że gdy lat męskich dojdzie, oswobodzi swój nieszczęsny lud.

Powziąwszy tedy ten śmiały i szlachetny zamiar, sędziwy rycerz opuścił potajemnie, w przebraniu barda⁹⁸, granice swego kraju i począł wędrować od zamku do zamku, od kraju do kraju, pieśni o niedoli ludu swego, który czeka wybawiciela, śpiewając.

Ale daremne były jego trudy.

Daremnie przemierzał dalekie lądy, przedzierał się przez puszcze i przeprowiał przez rzeki.

Nigdzie nie natrafił na najmniejszy nawet ślad zaginionego księcia.

Zwątpienie zaczęło się już zakradać do duszy Rolanda. Może Gerald zamordował bratanka i próżne są wszystkie jego poszukiwania? Ale myśl o nieszczęsnym kraju, który jeno Gotfryd mógł ocalić, dodawała starcowi siłę

⁹⁸*bard* — wędrowny poeta i śpiewak. [przypis autorski]

do dalszej wędrówki i Roland szedł coraz dalej i dalej. Aż zaszedł na brzeg wielkiego morza. U brzegu właśnie stał wielki statek kupiecki i kupcy zgodzili się chętnie przyjąć na pokład barda, który skróci im śpiewem i baśniami długie dni podróży.

Po drodze dowiedział się od nich Roland, że wiozą oni kosztowne kobierce, tkaniny i klejnoty dla bardzo potężnego króla, Zygmunta Wspaniałego.

— Jest to wielki i sprawiedliwy monarcha — mówili — a w państwie jego rolnicy i kupcy zażywają wiecznego pokoju, gdyż żaden nieprzyjaciel nie ważyłby się walczyć przeciw Gotfrydowi Zwycięzcy, który nie ma sobie równego między rycerzami.

— Któż to taki ów Gotfryd Zwycięzca? — zapytał zaciekawiony Roland. — Czy to syn lub krewniak królewski?

— Nie! — odparli na to kupcy. — Nikt nie zna jego rodu, albowiem król przywiózł go na swój dwór, gdy rycerz ten pacholęciem był

jeszcze. Powiadają, że znalazł go gdzieś w górach między pasterzami.

Wspomniał Roland moje przepowiednie i uczuł, że serce bije mu młotem w piersiach, a niecierpliwość i nadzieja rade by użyzyć skrzydeł żaglom.

Toteż natychmiast po wylądowaniu udał się na dwór królewski.

A gdy przed królem i jego rycerzami swą pieśń zaśpiewał, nagle jeden z nich, połą⁹⁹ płaszcz swego twarz zakrywszy, zapłakał...

Rzucił Roland Prawy swą lutnię i zawołał:
— Tyś jest Gotfryd, ukochany nasz książę i pan!

A odparł mu Gotfryd:
— Tyś jest Roland Prawy, rodzica mego przyjaciel i doradca!

I rzucili się sobie w objęcia płacząc, a dwór cały i król Zygmunt Wspaniały patrzyli na to z wielkim zadziwieniem. Tedy Gotfryd opowiedział królowi wszystko i poprosił, by mu

⁹⁹*poła* — dolny fragment ubrania rozpinającego się z przodu. [przypis edytor-ski]

pozwolił natychmiast do kraju swego wyruszyć.

Wysłuchał go król i rzekł:

— Słuszną jest rzeczą, abyś szedł tam, gdzie cię woła obowiązek. Każę zaraz przygotować sto okrętów, które zawiozą cię i twoją rycerską drużynę (dam ci bowiem tysiąc najmężniejszych mych rycerzy) do twojej ojczyzny. Będziemy cię czekali niecierpliwie, ja i Roksana. Wracaj, jak zawsze — zwycięzcą!

— Dziękuję ci, najjaśniejszy panie — odparł mu Gotfryd — ale nie chcę wracać do kraju mego na czele obcych zastępów, jak zdobywca! I nie chcę walczyć mieczem o tron ojców moich! Oto odpasuję go i zostawiam. Jedyną bronią, którą zabieram ze sobą do ojczyzny, będą skrzypki moje!

— Panie mój! — zawołał Roland Prawy. — Cóż to za nierozsądne wyrzekłeś słowa! Czy myślisz, że pieśnią skruszysz serce tego tyra-
na, który setki ludzi co dzień zabija? Jeśli nie chcesz prowadzić na kraj swój obcych zastępów, to zwołaj lud swój i swoje rycerstwo. Wszy-

scy podążą na tve wezwanie zbrojni, jak kto może!

— Zwołam lud mój i moje rycerstwo — rzekł Gotfryd — ale każę mu iść za sobą bez broni. Jeśli się lękasz, Rolandzie Prawy, zostań tutaj i czekaj mego powrotu.

— Nie opuszczę cię, panie mój, choć wiem, że na śmierć pewną i zagładę siebie i lud swój chcesz prowadzić — odparł smutnie Roland Prawy.

A król Zygmunt i wszyscy rycerze poczęli Gotfrydowi zamiar jego, który szalony im się zdawał, odradzać.

Tylko księżniczka Roksana nie mówiła ani słowa, albowiem kochała go i wierzyła mu.

Pozegnał się więc Gotfryd z królem i księżniczką i wraz z Rolandem w daleką drogę wyruszył.

Zaledwie wieść o przybyciu księcia Gotfryda rozeszła się po kraju, poczęły się zewsząd gromadzić tłumy ludu i rycerstwa i witały go z wielką radością. A Gotfryd kazał im iść za sobą. I szli za nim nie tylko mężowie, ale i mło-

dzieniaszkowie niedorośli, starcy, kobiety i dzieci. Że zaś głód i bieda panowały wszechwładnie w nieszczęsnym kraju, przeto twarze ich były blade, szaty zaś podarte i bardzo nędzne.

Gdy przywiodę lud ten przed oczy stryjamego — rozmyślał Gotfryd — i ukązę mu jego nędzę, wzruszy się jego twarde serce, pozna, że nie jest godny korony, i dobrowolnie się jej wyrzeknie.

Aliści nie znał on nikczemnego serca tego tyrana.

Gdy bowiem na dwór Geralda Okrutnego przyszła wieść o powrocie Gotfryda, uląkł się on bardzo, ale usłyszawszy, że Gotfryd idzie ku stolicy na czele bezbronnego tłumu nędzarzy, uspokoił się i zaraz zwoławszy swą dryżynę ozwał się w te słowa:

— Hej, szlachetni panowie! Dosiądzcie rumaków, przypaszcie miecze. Na piękną was powiodę uroczystość! Pojedziemy złożyć hołd memu bratankowi, który się królem oberwańców i głodomorów ogłosić zamierza!

Wybuchnęli śmiechem służalcy Geralda i wnet rumaków dosiedli, a Gerald pojechał na ich czele.

I właśnie Gotfryd, otoczony mnogim ludem, wszedł na drogę ku stolicy prowadzącą, która między górami a morzem wiodła, gdy zastąpił mu drogę stryj jego.

— Witaj, Gotfrydzie! — odezwał się szyderczo. — Nie wyjdiesz stąd żyw ani ty, ani buntownicy, którzy za tobą poszli! Otoczyłem was od północy i od południa, od wschodu zaś macie morze, a od zachodu góry. Wytnę was w pień, zuchwalcy! Nic was nie ocali! Chyba to morze i te góry pójdą wam na ratunek!...

Ale zaledwie wymówił te słowa, szlachetni panowie, zaledwie wymówił te słowa, stało się coś strasznego i okropnego, niesłychanego i zdumiewającego.

Oto fale morskie poczęły się z wolna podnosić, gniewnie srebrną bryzgając pianą.

Naprzód stały się groźnymi bałwanami w czas burzy, później zmieniły się w olbrzymie zwały wodne, później w zielone, straszliwe góry, któ-

rych szczyty, białą lśniąca pianą, aż pod niebem się strzępiły, i wreszcie niby stado wściekłych rumaków, o rozwianych, śnieżnych grzywach, na rycerzy Geralda runęły.

Krzyk przerażenia wyrwał się z tysiąca piersi i król Gerald Okrutny wraz ze swymi rycerzami w stronę gór w bezwładnej ucieczce się rzucił.

Ale wtedy, szlachetni panowie, stało się coś jeszcze strasznego.

Oto z wolna, z wolna góry poczęły się poruszać w swych posadach i z łoskotem i chrzęstem gromów naprzeciw Geralda i jego rycerzy wyszły!

I przez morze i góry w oczach zdrętwiałego ze zgrozy ludu pokaran legł król Gerald Okrutny i cała jego drużyna.

Nie pozostało po nich nawet śladu, jak gbyby nigdy nie istnieli. Tylko po dziś dzień droga ta nosi nazwę „Drogi Śmierci”.

A stało się to za sprawą dwóch cudownych pierścieni, władzę nad morzem i górami Got-

frydowi dających, pierścieni, których moc król Gerald sam przeciw sobie obudził.

Tak więc zasiadł książę Gotfryd na tronie ojców swoich. I silniejszy nie śmiał już uciskać słabszego, a każdy mógł iść śmiało do królewskiego zamku po opiekę i pomoc.

I cały lud błogosławił Gotfryda, i nazwał go „Wybawicielem”.

A gdy już ład i sprawiedliwość zapanowały w kraju, Gotfryd, powierzwszy rządy Rolandowi Prawemu, z wielką świtą¹⁰⁰ rycerzy i panów po swą narzeczoną, księżniczkę Roksanę, na dwór króla Zygmunta wyruszył.

**NAJPIĘKNIEJSZĄ NA ZIEMI KRÓ-
LEWNEJ Z NIEWOLI MOCARZA,
CO JEDNYM UDERZENIEM OBA-
LA SKAŁY, OSWOBODZI...**

O księciu Gotfrydzie opowieść dwunasta

¹⁰⁰świta — grupa osób towarzyszących panującemu. [przypis edytorski]

Najpiękniejsze damy tańczyły z najpiękniejszymi rycerzami, truwerzy królewscy stare śpiewali pieśni, a wasale Zygmunta, szlachetni książęta, grafowie i baronowie, pili zdrowie młodej pary złotym miodem w pięknych srebrnych pucharach.

A po prawej stronie siedział książę Gotfryd, a po lewej księżniczka Roksana i rozmawiali ze sobą o zaczarowanym ogrodzie, w którym mieli zamieszkać, o zaczarowanym ogrodzie, w którym tysiące motyli o tęczowych skrzydłach tańczy w słońcu.

I wtedy to właśnie usłyszano ów tętent.

Z początku było to tak, jak gdyby hufiec rycerski pędził we sto koni, a kopyta ich grzmiały po zamkowej drodze.

— To pewno przybywa jakiś gość spóźniony — rzekł król.

Ale tętent rósł i potężniał. To już nie sto, to tysiąc koni grzmiało podkrowami!

— Czy to nie jakiś zdradziecki nieprzyjaciel chce napaść niespodzianie na zamek? —

szepnął dowódca królewskiej straży, a rycerze odstawili puchary, powstali i słuchali w ciszy.

A tętent rósł i potężniał. To już nie tysiąc koni grzmiało podkowami — to leciało sto tysięcy dzikich rumaków! Nie! To huczały gromy, to waliły się góry, to zapadała się ziemia cała!

Rzucili się ku oknom król i rycerze i zniechęcomieli z przerażenia. Po zamkowej drodze pędził rumak tak wielki jak góra, na której wznosił się zamek. Rumak zdawał się cały jak gdyby wyciosany ze skały, oczy jego paliły się niby dwie krwawe gwiazdy, a z nozdrzy szedł ogień, spod żelaznych kopyt tryskały iskry.

Na rumaku siedział olbrzymi rycerz, od stóp do głów w czarną zbroję zakuty, a na czarnym jego szyszaku¹⁰¹ powiewał płomienny pióropusz.

Jednym uderzeniem potężnej pięści, w żelazną rękawicę zakutej, zgruchotał czarny rycerz bramę i mur zamkowy i położył trupem stu wartujących halabardników, po czym z konia zeskoczył i zginając się wpół wszedł do sali,

¹⁰¹szyszak — hełm bojowy w kształcie stożka. [przypis edytorski]

gdzie odbywała się uczta weselna. Jak zakłęci w kamień stali wasale i dworzanie królewscy, nie śmiejąc poruszyć się.

Jeno dwoje ludzi nie zwróciło uwagi na przybycie straszego gościa, tak jak nie zwróciło jej poprzednio na huk kopyt jego kamiennego konia: księżniczka Roksana i książę Gotfryd siedzieli wciąż trzymając się za ręce i rozmawiali o zaczrowanym ogrodzie, w którym tysiące motyli o tęczowych skrzydłach tańczy w słońcu...

Czarny rycerz podszedł prosto do księżniczki i zanim zdążyła krzyknąć, porwał ją na ręce, wybiegł przed zamek, skoczył na konia i zniknął.

Książę Gotfryd stał przez chwilę nieruchomo, blady jak płótno, po czym z dzikim okrzykiem wyrwał miecz z pochwy, zbiegł na dół, skoczył na swego rumaka i rzucił się za czarnym rycerzem.

— Gotfrydzie! Gotfrydzie! — wołali rycerze, którzy zdolali tymczasem ochłonąć z przerażenia i zrozumieć, co się właściwie stało. —

Poczekaj, Gotfrydzie! Nie pędź za tym olbrzymem, bo zabije cię jednym uderzeniem. Poczekaj! Naradzimy się wspólnie, co mamy uczynić! Gotfrydzie! Gotfrydzie!

Ale książę Gotfryd już ich nie słyszał.

Bez hełmu, ze wzniesionym do góry mieczem, pędził co koń wyskoczy za czarnym rycerzem, wołając:

— Stój! Stój, nikczemny tchórze! Stój i zmierz się ze mną!

Ale czarny rycerz nie obejrzał się nawet.

Może zresztą głos Gotfryda nie dochodził do niego, bo tętent kopyt jego konia głużył wszystko. Kopyta te żłobiły w ziemi tak ogromne doły, że Gotfryd z trudnością mógł je przeskakiwać, czarny rycerz oddalał się coraz bardziej, aż wreszcie Gotfryd stracił go zupełnie z oczu.

I wówczas książę Gotfryd, ten Gotfryd, którego zwano „Zwycięzcą” i „Niezlomnym”, zapłakał jak dziecko. Jego rycerskie serce nie mogło znieść myśli, że jego narzeczona, złotowłosa księżniczka Roksana, delikatna jak kwiat i jak

motyl, znajduje się w rękach czarnego rozbójnika, a on, Gotfryd, nie może jej ocalić.

Ale niegodnym prawdziwego rycerza byłoby rozpaczać, gdy nie wszystko jeszcze stracone. Opanował więc Gotfryd swój ból i popędził dalej śladami kamiennego konia.

Dwa dni i dwie noce jechał Gotfryd, nie pijąc i nie jedząc, aż trzeciego dojechał do gór. I tutaj ujrzał, że ślady kamiennego rumaka znikają zupełnie, jak gdyby zapadł się on wraz ze swym jeźdźcem w ziemię. Ale Gotfryd nie tracił nadziei. Koń tak wielki mógł przecież przeskakiwać skały i ślady jego kopyt znajdą się po drugiej ich stronie. Tak pomyślawszy zsiadł z konia, wziął go za uzdę i zaczął się piąć stromą ścieżką w górę. Kamienie osuwały się spod jego nóg, głód i pragnienie dokuczały mu, ciężka zbroja, której już trzeci dzień nie zdejmował, gniotła i wpijała się w ciało. Ale nie na darmo zwano go przecież „Niezlomnym” — szedł wytrwale wciąż naprzód i naprzód.

Tymczasem zapadła wczesna noc zimowa i zadymka śnieżna zasypała wszystkie drogi w górach.

Gotfryd nie wiedział już teraz, dokąd iść dalej. Wtem usłyszał tuż obok siebie cichy jęk i ujrzał, że u jego stóp leży mała sarenka i patrzy na niego smutnie wielkimi, czarnymi oczyma.

Gotfryd pochylił się nad nią i pogłaskał jej śliczną główkę.

— Co ci jest, biedactwo? — rzekł ze współczuciem. — Jaka szkoda, że nie umiesz mówić! W każdym razie nie mogę pozwolić, abyś tu zmarła na śniegu. — I zdjęwszy swój płaszcz okrył ją.

Ale sarenka zerwała się i powiedziała wesoło:

— Mylisz się, książę Gotfrydzie, mylisz się! Dziś jest noc Bożego Narodzenia, a w tę noc cudowną wszystkie zwierzęta mogą mówić na pamiątkę, że pan Jezus narodził się między nami.

— Ale skądże wiesz, jak się nazywam? — zapytał zdziwiony Gotfryd.

— Ta, która mnie posłała do ciebie, powiedziała mi: „Poznasz go po tym, że jest najpiękniejszym z rycerzy”. Wielu jest pięknych rycerzy — odpowiedziałam. „Więc poznasz go po tym, że jest najmężniejszy!”. Jakże się będę mogła o tym przekonać? — zapytałam. „A więc poznasz go po tym, że choćby sam cierpiał, nie przejdzie obojętnie obok cudzego cierpienia...”. I poznałam cię. Bądź pozdrowiony, książę Gotfrydzie!

— A któż cię do mnie przysłał? — zapytał Gotfryd.

— Twoja narzeczona, księżniczka Roksana! — odparła sarenka.

— Jak to? Więc widziałaś ją! Rozmawiałaś z nią?! Wiesz, gdzie się ona znajduje?! Możesz mnie do niej zaprowadzić?!

— Nie Gotfrydzie. Nie mogę tego uczynić. Twoją narzeczoną więzi król wichrów i ciemności, lodowców i przepaści. Każdego śmiałka, który by się porwał przeciw niemu, czeka pewna śmierć. Roksana zaklina cię, abyś jej nie szukał, bo zginiesz.

— Zginę albo wyswobodzę ją! — zawołał Gotfryd dobywając miecza. — Prowadź mnie!

Sarenka wstrząsnęła główką.

— Nie mogę tego uczynić, Gotfrydzie! Ale idź za mną, zaprowadzę cię do chaty starego pustelnika. Zna on nie tylko wszystkie drogi w górach, ale i sposoby walki z królem ciemności i może dać ci niejedną dobrą radę.

— Dobrze, sarenko! — rzekł Gotfryd. — Prowadź mnie do niego, prowadź mnie prędko, bo serce moje goreje¹⁰² z niecierpliwości!

Zeszli tedy razem w niewielką dolinę. W jasnym świetle księżycy ujrzał Gotfryd chatkę pustelnika.

Pustelnik, siwy jak gołąb staruszek, siedział na jej progu, wpatrując się w dal, jak gdyby oczekiwał kogoś.

— Witaj, młody rycerzu! — rzekł ujrzawszy przed sobą Gotfryda. — Dobrze, że tedy przechodzisz, gdyż jestem już taki stary, że nie

¹⁰²*goreć* a. *gorzeć* — palić się, być ogarniętym przez gwałtowne uczucie. [przypis edytorski]

mam sił narąbać sobie drzewa, a ty nie odmówisz mi pewnie tej przysługi. Topór leży w izbie.

Gotfryd śpieszył się bardzo, ale nie przystoi prawemu rycerzowi odmawiać pomocy słabszemu. Skłonił się więc w milczeniu starcowi, wziął topór i zabrał się do pracy.

— Ot, co znaczy młodość i siła! — rzekł po chwili pustelnik. — Nie zdążyłem odmówić jeszcze jednego *Ave Maria*¹⁰³, a na całą zimę starczy. Wejdz do izby i rozpal ogień na kominię.

Gotfrydowi spieszyło się bardzo, ale nie przystoi prawemu rycerzowi odmawiać pomocy słabszemu. Wszedł więc Gotfryd do izby i rozpalił ogień.

— A teraz — rzekł pustelnik — zejdz do piwnicy. Znajdziesz tam dzban wina i bochenek pszennego chleba. Postaw dzban na ogniu, a gdy wino się zagrzeje, przyjdz tu do mnie z chlebem i gorącym napojem.

¹⁰³*Ave Maria*, (łac.), (rel.) — *Zdrowaś Maryjo* a. *Pozdrowienie anielskie*; modlitwa chrześcijańska za wstawiennictwem Maryi. [przypis edytorski]

Gotfryd gorzał cały z niecierpliwości, ale nie przystoi prawemu rycerzowi odmawiać pomocy słabszemu, spełnił przeto i to żądanie pustelnika.

— Dziękuję ci, mój synu — powiedział pustelnik. — Usiądź koło mnie i pokrzep się chlebem i winem, gdyż już trzy dni nic nie jadłeś, a ciężka czeka cię jeszcze przeprawa.

— Skąd wiesz o tym?! — zawołał zdumiony rycerz.

Pustelnik uśmiechnął się.

— Czytam w gwiazdach — odparł. — Podnieś głowę! To całe niebo, które widzisz, jest dla mnie ogromną, roztwartą księgą, w której na ciemnoszafirowych kartach znaczą się srebrnymi literami losy świata. Wiedziałem, że tu przyjdiesz, zanim jeszcze pomyślałeś o tym. Posłuchaj więc mojej rady: Czy widzisz tę lodową ścianę, która wznosi się naprzeciw nas, a której szczyt tonie aż w obłokach?

— Widzę — odparł Gotfryd.

— Na ten szczyt musisz się wspiać, a później skoczyć w ciemną otchłań, która ukaże się twoim oczom...

— Dobrze! — odparł Gotfryd tak spokojnie, jak gdyby pustelnik doradzał mu zejście po wysłanych kobiercami schodach do sali tanecznej. — I co dalej?

— Otóż wtedy znajdziesz się w wielkiej komnacie, której ściany będą stanowiły cztery góry, a w środku, na granitowym tronie, zobaczysz swego wroga. Będzie on starał się przerazić cię swą potęgą. Wówczas cokolwiek on uczyni, rób to samo, choćby to były rzeczy przechodzące siły ludzkie. Jeśli to będziesz czynił z wiarą w powodzenie, uda ci się na pewno, gdyż dziś jest cudowna noc Bożego Narodzenia, a tej nocy zło nie może triumfować nad dobrem.

— Dziękuję ci — rzekł powstając Gotfryd. — Dziękuję ci za gościnę i za radę. Czy pozwolisz, że zostawię tu mego konia, gdyż nie mogę wraz z nim wspinać się po lodzie?

— Zostaw go — odparł pustelnik. — A sam ruszaj z Bogiem i wracaj zdrowo. A tę siekierę, którąś rąbał drzewo, weź ze sobą, może przyda ci się na co.

Pokłonił mu się tedy Gotfryd, raz jeszcze za wszystko podziękował i w drogę ruszył, a że szedł szparko¹⁰⁴, więc w niedługim czasie znalazł się u stóp skały. Ale na próżno obchodził ją ze wszystkich stron, szukając najmniejszego zagłębienia, najmniejszej pochyłości, po której można by się wspinać.

Skala była stroma i gładka jak lustro. Chyba ptak się mógł na jej szczyt dostać.

Rozpacz ogarnęła Gotfryda. Czyż ma odejść stąd i pozostawić Roksanę w rękach ohydneho zbroja? Czyż ma jej pozwolić umrzeć z tęsknoty za słońcem, na dnie przepaści? Nie! Nigdy! Jeśli nie może wejść po tej skale, to zwali ją!

I wyrwawszy zza pasa topór uderzył nim z całej mocy w lodową ścianę. A wówczas stało się coś dziwnego: Oto topór wyrwał mu się

¹⁰⁴*szparko* — żwawo, szybko. [przypis edytorski]

z rąk i począł biec w górę po skale, rąbiąc w niej stopnie.

Gotfryd podniósł oczy w niebo chcąc podziękować Bogu za cud tak widocznej opieki i ujrzał tuż nad swą głową gwiazdę płonącą tak cudownym blaskiem, że gasiła pięknnością wszystkie inne.

Pojał tedy Gotfryd w sercu swoim, że była to Gwiazda Wigilijna, i pełen radości i otuchy począł się piąć w górę.

Zaprawdę nie była to łatwa droga.

Od ściany wiało na niego lodowe zimno, ręce przymarzały mu do stopni, a każde poślizgnięcie groziło śmiercią. Ale Gotfryd miał nad głową Gwiazdę Wigilijną, a w sercu wielką miłość, nie czuł więc ani zimna, ani bólu, ani strachu.

Wreszcie stanął na szczycie, a pod stopami jego otwarła się bezdenna przepaść. A kiedy Gotfryd spojrział w nią, pierwszy raz w swym życiu zadrzał. Panowała tu głucha cisza i ciemność. Kamień, strącony jego nogą w głąb, upadł

nie wydawszy dźwięku... Owiała go woń pleśni i zgnilizny.

Gotfryd zawahał się...

Ale zaraz przypomniał sobie, że tam w tej głębi bezdennej znajdzie Roksanę, i rozpostartszy ramiona rzucił się w otchłań.

Przez chwil kilka leciał z błyskawiczną szybkością w ciemność, ale nagle poczuł, że czyjeś potężne ramię obejmuje go wpół, powstrzymuje od upadku i stawia na ziemi.

Gotfryd znalazł się, jak mu przepowiedział pustelnik, w wielkiej sali, której ściany stanowiły cztery góry.

Pośrodku wznosił się tron z ogromnych granitowych złomów, a na nim siedział król ciemności i przepaści.

— Skąd się tu wzięłaś, ludzka mrówko, i jak śmiesz wchodzić do mego zamku?! — zapytał groźnie. A głos jego był jak ryk orkanu¹⁰⁵ i trzykrotnym echem powtórzyły go ściany.

— Przyszedłem tu, aby oswobodzić Roksanę i ukarać cię, nikczemny zbójcu, za to, żeś

¹⁰⁵*orkan* — bardzo silny wiatr; cyklon tropikalny. [przypis edytorski]

śmiała ją więzić! — odparł dumnie Gotfryd i sam zdziwił się potędze swego głosu, bowiem zabrzmiał on jak spizowy dzwon i sześciokrotnym echem powtórzyły go ściany.

Król przepaści roześmiał się obrzydliwym rechotem, który mógłby przejąć dreszczem najodważniejszego rycerza.

— Nędzny głupcze! — zawołał. — Ty chcesz się sprzeciwiać mej woli?! Roksana zostanie moją żoną, choćby opierała się temu jeszcze bardziej, niż się opiera, i choćby miała takich stu rycerzy jak ty, których potrafię jednym dmuchnięciem obalić.

I dmuchnął. A od tego dmuchnięcia zerwał się taki wichur, że podniósł Gotfryda jak piórko i rzucił nim o ziemię.

Powstał książę Gotfryd i zawołał:

— Jeśli ty masz taką siłę, to ja, który walczę o Roksane, muszę mieć większą!

I nie zastanawiając się wcale nad tym, że olbrzym, z którym chciał walczyć, rozkazywał wszystkim huraganom, zadał, co miał siły w płucach.

Święty Boże! Co się wtedy za wichrzysko zerwało! Nie tylko czarnego rycerza rzuciło na ziemię, ale jego granitowy tron obaliło tak, że się w drobne kawałki rozpadł!

Jeszcze nie zdążył Gotfryd ochłonać ze zdumienia, które go na widok tego, co uczynił, ogarnęło, kiedy król przepaści podniósł się i odezwał w te słowa:

— Widzę, że jesteś silniejszy, niż myślałem, albo też pomagają ci jakieś nieznane mi moce. Nie przypuszczaj jednak, że jesteś silniejszy ode mnie. Obacz, co potrafię uczynić!

I podszedłszy do jednej ze ścian pchnął ją ze wszystkich sił. Góra zachwiała się w posadach i runęła ze strasznym łoskotem.

— No i cóż? — zapytał szyderczo król przepaści. — No i cóż, rycerzu Roksany, potrafiłbyś to zrobić?

Zakipiał gniew w Gotfrydzie i nie zastanawiając się wcale, czy w ludzkiej to mocy skały obalać, do drugiej ściany podszedł i nateczywszy całą siłę swych rycerskich ramion — pchnął.

Rozległ się łoskot jeszcze straszniejszy niż poprzednio i nie tylko ta ściana, ale i dwie pozostałe runęły rozpadając się w kawałki.

— Widzę — rzekł ponuro czarownik — żeś silniejszy ode mnie! Jesteś pewnie rycerzem Gwiazdy Wigilijnej i w tę noc nikt cię zmóc nie może. Uchodzę stąd, by nie polec z twojej ręki, ale nie myśl, żeś odzyskał Roksanę. Rzucam na ciebie i na nią czar: Od tej chwili stajecie się dla siebie niewidzialni. Próżno będziesz szukał jej do świtu w stu komnatach mego zamku, a kiedy nadejdzie ranek i zgaśnie Gwiazda Wigilijna, wrócę tu, aby rozprawić się z tobą. Tylko że wtedy już nie będziesz mógł zwałać skał — jedynie ta noc należy do ciebie.

I powiedziawszy to czarownik zniknął, a Gotfryd został sam. Na razie nie zwrócił on uwagi na słowa króla przepaści. Dumny i szczęśliwy z pokonania wroga począł chodzić od jednej komnaty do drugiej, szukając Roksany.

Ale ciemne, ogromne i ponure sale były puste i ciche. Ostrogi jego dzwoniły o nie przykrytą kobiercem kamienną posadzkę, a sąsied-

nie komnaty powtarzały odgłos jego kroków głuchym echem, dziwnie przeraźliwym wśród milczenia.

Dziwne uczucie opanowało Gotfryda. Nie był to lęk, ale poczucie wrogiej samotności. Te sale były puste, a jednak za każdą z tych ogromnych, nieociosanych, granitowych kolumn, wspierających kamienne ściany, zdawało się czaić niebezpieczeństwo.

Gotfryd wyciągnął broń z pochwy i z nagim mieczem w dłoni szedł dalej, wołając:

— Roksano! Roksano!

Aż nagle usłyszał jej drżący ze szczęścia głos:

— Gotfrydzie! Czy to ty! Gotfrydzie! Gotfrydzie!

— Gdzie jesteś, Roksano?! — wołał Gotfryd wbiegając do następnej sali, skąd go dochodził głos. — Roksano! Gdzie jesteś?!

— Jestem tu, Gotfrydzie! Ale gdzie ty jesteś? Słyszę cię, ale cię nie widzę! Gotfrydzie! Gotfrydzie!

— Jestem tu, Roksano! Ale nie mogę dostrzec cię w mroku! Jestem tu, Roksano! Roksano!

I tak biegli to oddalając się, to zbliżając się do siebie, błakając się to w nowych salach i korytarzach, przestając się słyszeć, to znów słysząc się z bliska, niemal na odległość wyciągnięcia dłoni, a echo powtarzało ich głosy: Roksano! Gotfrydzie! Roksano! Gotfrydzie! Gotfrydzie!

Ale na próżno. Urok, rzucony na nich przez króla ciemności, trwał.

Wreszcie wbiegli do sali, w której Gotfryd walczył z czarnym rycerzem. Nie było tu sklepienia, jeno gwiazdziste tysiącem świateł roziskrzone niebo. Gotfryd ukląkł i podnosząc oczy tam, gdzie cudownym blaskiem lśniła Gwiazda Wigilijna, począł się modlić:

— Panie, któryś przeniósł mnie dzieckiem na skrzydłach ptaków przez morze... Panie, któryś dał moc pacholęcemu ramieniu, gdy chciało zelżyć moją cześć rycerską... Panie, któryś dał mi więcej niż władzę, więcej niż sławę, więcej niż życie, któryś dał mi Roksanę — nie

dozwól, by nikczemny czarownik zatriumfował nade mną...

A jeśli zawiniłem i chcesz mnie ukarać, to ukarż mnie tylko, ale ocal Roksane!

I kiedy tak się modlił Gotfryd Zwycięzca, nagle poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia.

Obejrzał się i zobaczył małą sarenkę, którą okrył swoim płaszczem, by nie zmarzła na śniegu. Sarenka przyniosła mu teraz jego płaszcz i podając go rzekła:

— Okryj się nim, Gotfrydzie. Nabrał on przez twój uczynek cudownej mocy.

Gotfryd zarzucił płaszcz na ramiona i w tej samej chwili usłyszał radosny okrzyk Roksany:

— Jesteś! Widzę cię!

I poczuł jej ręce na swojej szyi. Okrył ją tedy płaszczem i wówczas ujrzał jej złotą głowę na swoich piersiach. Porwał więc ją na ręce i co sił biec z nią począł ku chatce pustelnika.

A kiedy zgasły gwiazdy i zaświtała jutrznia¹⁰⁶ poranna, Gotfryd i Roksana byli już daleko od królestwa ciemności i przepaści.

¹⁰⁶jutrznia (daw.) — jutrzeńka. [przypis edytorski]

Jechali razem białą drogą wśród białego lasu, a Gotfryd trzymał Roksanę przed sobą na siodle i rozmawiali ze sobą o zaczarowanym ogrodzie, o zaczarowanym ogrodzie, w którym tysiące motyli o tęczowych skrzydłach tańczy w słońcu. A las stał biały i cichy, jak panna młoda w dzień wesela. A sopte lodowe błyszczwały w słońcu jak diamenty. A od śniegu zdawała się bić srebrna luna.

Ale w głębi puszczy mieszkało czterdziestu straszliwych zbójców, co grabili podróżnych po drogach. Tedy ich przywódca, hersztem zwany, ujrzał, jak lśni złota zbroja Gotfryda i złote włosy księżniczki Roksany pomiędzy drzewami, i zwoławszy towarzyszy rzecze:

— Zbroja tego rycerza waszym będzie łupem, a ta cudna dziewczka, którą przed sobą w siodle trzyma, moim!

Wzięli więc maczugi i toporzyska, i noże, i dzidy, i mieczyska okrutne i z dzikim krzykiem ze wszystkich stron Gotfryda opadli.

Hej! Szkoda, żeście tam nie byli, szkoda, żeście nie widzieli, jak potykał się w owej puszc-

czy Gotfryd Zwycięzca z czterdziestoma zbójami!

Jak błyskawica spadał miecz jego na ich karki, a z maczug tylko drzazgi leciały pod jego uderzeniami!

Hej! Szkoda, żeście tam nie byli, szkoda, żeście nie widzieli, jak uciekało czterdziestu zbójów przed jednym rycerzem!

A kiedy zostali sami, zapytała Gotfryda księżniczka Roksana:

— Czy nie jesteś ranny, Gotfrydzie?

— Nie — odparł Gotfryd. — Nie jestem ranny, Roksano.

Ale mówił nieprawdę, bo pierś jego krwawiła pod złotym pancerzem, jeno nie chciał spłoszyć uśmiechu z ust ukochanej.

Jechali tedy dalej, a Gotfryd trzymał Roksanę przed sobą na siodle i rozmawiali ze sobą o zaczarowanym ogrodzie, o zaczarowanym ogrodzie, w którym tysiące motyli o tęczowych skrzydłach tańczy w słońcu...

A tymczasem król Zygmunt zwołał wszystkich wasali i ogłosić kazał, że kto księżniczkę

Roksanę z mocy czarnego rycerza oswobodzi, ten pół królestwa otrzyma i ją samą za żonę dostanie.

Był zaś pomiędzy wasalami króla Zygmunta graf jeden, Rodrygiem zwany. Opowiadano sobie o nim, że podróżnych, co przez lasy jego przejeżdżają, napada, że dobra wdów i sierot zagrabia, że w walkach rycerskich praw się nie trzyma.

Pozywał go już nawet król na sąd razy kilka, ale Rodryg zawsze jakoś wykręcić się umiał. Otóż teraz zebrał graf Rodryg swoją dryżynę i tak powiada:

— Szukać czarnego rycerza nie pojedę, bo tylko głupi guza szuka, ale zaczaję się przy zamkowej drodze i jeśli temu szaleńcowi Gotfrydowi udało się wyswobodzić księżniczkę, odbijemy mu ją, a jego zabijemy lub wyożemy na nim rycerskie słowo, że będzie milczał. Potem królowi Roksanę przywieziemy, jako żeśmy to ją niby z niewoli srogiej wyswobodzili, i nagrodę otrzymamy, a nadto zdobędziemy sławę wielką.

Oj, nie rycerz to był ten Rodryg, ale rób-
bójnik prawy¹⁰⁷!

Już się tedy Gotfrydowi i Roksanie wieże
królewskiego zamku miały ukazać, kiedy ich
nagle Rodryg i jego drużyna z dobytymi mie-
czami opadli.

Zadziwił się wielce książę Gotfryd i te rzek-
nie słowa:

— Grafie Rodrygu i wy, mężni rycerze!
Czy szaleństwo opętało wasze zmysły, że przy-
jaciół od wrogów rozróżnić nie umiecie? Czy
nie poznajecie waszego króla córki i mnie, przy-
szłego jej męża, towarzysza tylu wypraw wa-
szych?

Tak mówił Gotfryd Zwycięzca, nie doby-
wając miecza, bo szlachetne jego serce nie po-
dejrzewało zdrady.

— Nie ty — odparł mu na to Rodryg —
ale ja mężem Roksany zostanę. Jeśli oddasz mi
ją dobrowolnie i przysięgniesz, że świadczyć bę-
dziesz przed królem, jako ja ją oswobodziłem,

¹⁰⁷*prawy* — tu: prawdziwy. [przypis edytorski]

daruję ci życie. Jeśli tego nie uczynisz, zginiesz marnie — jest nas tu stu dwudziestu!

Pobladł z gniewu i oburzenia Gotfryd i miecz z pochwy wyrwawszy z okrzykiem: — Giń, nikczemniku! — na Rodryga się rzucił.

I byłby zbójnik ten, całego rycerstwa plama, od tego potężnego ciosu zginął, gdyby mu się od niego zręcznym uchYLENIEM uchronić nie udało.

Ale teraz opadła ze wszystkich stron Gotfryda drużyna hrabiowska.

Hej! Nie umie już młodź¹⁰⁸ nasza takich młynków zawrotnych, takich cięć mieczem krzyżowych, takich kopią uderzeń mistrzowskich, ale nade wszystko nie umie twardo i niezłomie nieprzyjacielowi, nawet najliczniejszemu, czoła stawiać i raczej zginąć, niż się zhańbić!

Hej, szkoda, żeście tam nie byli, szkoda, żeście nie widzieli, jak się przeciw owej nawale księżę Gotfryd bronił!

Nie minęły i trzy *Ave Maria*, a dwudziestu siedmiu rycerzy Gotfryd z siodła wysadził.

¹⁰⁸*młodź* (daw.) — młodzież. [przypis edytorski]

Ale Gotfryd był ranny i coraz słabiej miecz jego po zbrojach wrogów dzwonił.

Ale Gotfryd walczył sam jeden przeciw stu nieprzyjaciołom. Od tyłu go tedy zaszedłszy, z siodła ściągnęli, powrozami związali i na ziemię rzucili.

Hej, nie rycerski to był bój!

Stanął graf Rodryg nad skrępowanym przeciwnikiem i tak mu urągał:

— Gdzież się podziła twoja duma, Gotfrydzie? Gdzież się podziła twoja sława rycerska? Oto leżysz u nóg moich i życie twoje w mojej jest mocy. A zwano cię przecież „Zwycięzcą”, Gotfrydzie, a zwano cię przecież „Zwycięzcą”...

I ostrze swego miecza na piersi jego oparł.

A odrzekł mu na to Gotfryd, nie poblądłszy ani nie zmrużywszy powiek, dumnie w twarz wroga patrząc:

— Oto leżę u nóg twoich i życie moje w twojej jest mocy, a mimo to jam jest Gotfryd Zwycięzca, a ty — zbój nędzny i podły!

Zatrząsł się z wciekłości Rodryg i byłby pchnął miecz w pierś rycerza, gdyby księżniczka Rokšana ramienia jego nie powstrzymała.

— Głupi zuchwalcze! — zawołała. — Czy myślisz, że jeśli zamordujesz Gotfryda, to mnie zdołasz prośbą lub groźbą zmusić do milczenia?! Zaiste, lepiej będzie dla ciebie, jeśli zwolniejszy Gotfryda zdasz się na jego łaskę, bo wiem, że jest on mężem wspaniałomyślnym! Gdybyś nie uczynił tego, kat odepnie ci z rozkazu króla ostrogi, kat złamie miecz twój i pod katowskim toporem spadnie twoja głowa!

Roześmiał się strasznym śmiechem Rodryg.

— Zaprawdę dobrze się stało, Roksano, żeś pokazała, iż nie gołąbką tchórzliwą jesteś, ale orlicą. Każę ci wyrwać język i powiem ojcu twemu, że to czarny rycerz tak cię okaleczył... Będziesz milczała, Roksano, przysięgam na miecz mój, będziesz milczała!

— Mylisz się, Rodrygu, mylisz się! Ojciec mój spojrzy w me oczy i w oczach mych wyczyta prawdę całą. Oczyma opowiem mu wszystko!

— Każę wypalić ci oczy, te oczy, które Gotfryd w pieśniach swych do górskich jezior porównywał, i powiem, że to czarny rycerz tak cię okaleczył. Będziesz milczała, Roksano, przysięgam na miecz mój, będziesz milczała!

— Mylisz się, Rodrygu, mylisz się! Łamać będę me ręce, szarpać będę me włosy i opowiem memu ojcu wszystko!

— Każę obciąć ci tve włosy, o których Gotfryd śpiewał, iż są jego harfy strunami, każę odrąbać tve białe dłonie, o których mówił Gotfryd, iż są jak lilii kwiaty! Będziesz milczała, Roksano, przysięgam na miecz mój, będziesz milczała!

Zadrzał tedy książę Gotfryd, gdyż czuł, że nie są to pogróżki na wiatr rzucone i że okrutnik ten zdolny jest do wszelkiej nikczemności.

— Nie zważaj na jej słowa, Rodrygu — rzekł. — Cóż znaczą słowa szalonej? A ona jest szalona z rozpaczy. Zabij mnie, ale jej nie tykaj!

— Nie — zawołała Roksana. — To mnie raczej zabij, a jego weź ze sobą na zamek i powiedz ojcu memu, że król ciemności rzucił mnie

w przepaść, a Gotfryd oszalał z bólu i ledwieś go uratował. Mój ojciec nie da wówczas wiary jego słowom, a ty dostaniesz pół królestwa w nagrodę, gdyż kocha go on jak syna.

— Nie, to mnie raczej zabij, Rodrygu!

— Nie, to mnie raczej!

I kiedy się tak ze sobą spierali, które z nich ma umrzeć, rycerze Rodryga poczuli, że dzieje się z nimi coś szczególnego.

Poczuli, że coś ściska ich za gardło, że coś pali ich pod powiekami i wilgocią napęlnia oczy. I żaden z nich nie śmiał podnieść wzroku na drugiego, i każdy starał się ukryć twarz w fałdach płaszcza...

Mężowie ci, co już od lat zbójami z rycerzy się stali, poczuli nagle żal i wstyd, i łzy, że sławę swą i cześć rycerską podeptali, nikczemnikowi do zbrodni prowadzić się dając.

I nagle jeden z nich, Rudolfem zwany, z gromady się wysunąwszy, zawołał:

— Czy pozwolicie, aby zginął ten najwaleczniejszy i najznakomitszy z rycerzy i ta cud-

na jak jutrzienka pani?! Czy chcecie okryć się hańbą, pastwiąc się nad jeńcem i kobietą?!

I wtedy cała drużyna odparła jak jeden mąż:
— Zaprawdę, nie!

A że byli to ludzie twardzi i mało kiedy litość znający, więc zaraz z nich jeden dodał:

— I czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy temu nędznemu zbrodniarzowi wyrwali język i wypalili oczy, a później na przydrożnej powiesili gałęzi, bo innej śmierci niewart?

I znowu odparła, jak jeden mąż, drużyna cała:

— Zaprawdę, że byłoby lepiej.

Powiódł hrabia Rodryg oczyma po swoich ludziach, a srogie ich twarze obaczywszy, jak osinowy liść zadrżał i do ucieczki się rzucił, ale go wraz kilkadziesiąt rąk pochwyciło i przed Gotfryda, któremu właśnie więzy rozcinano, powłokło.

Padł tedy przed nim na kolana i o litość błagać go począł, nogi jego obejmując, bowiem, zaprawdę powiadam wam, że jeśli kto urąga słabym, to płaszczy się przed silnymi, a jeśli

jest mężny wobec bezbronnych, to tchórzem jest wobec zbrojnych.

Spojrzał na niego z politowaniem Gotfryd i rzekł:

— Nierycerska to rzecz katowskim rzemiosłem się trudnić. Puście go wolno!

Aliści ozwał się jeden:

— Jakże to może być, żeby nie ukarany odszedł?

A rzekł na to Gotfryd:

— Jakiejże chcecie dla niego jeszcze kary, kiedy już największą otrzymał?

Zdziwili się bardzo rycerze i zapytali:

— Jaka?

A odparł im Gotfryd:

— Hańbę! — i omdlał, albowiem krew upływała mu z ran.

Przypadła do niego księżniczka Roksana i głowę jego na swych kolanach położywszy pancierz mu rozpinać poczęła.

Otoczyli ją kołem rycerze i każdy, co miał, jej podawał: ten płótno, ów wodę, inny wino.

A kiedy Gotfryd puchar wina wychylił, powróciły mu zupełnie siły.

Wsiadł tedy na konia, Roksanę przed sobą na siodle posadziwszy i rozkazawszy żołnierzom w drogę ruszać, jednego z nich jako gońca przodem wysłał.

Pędzi tedy ów goniec co koń wyskoczy do stolicy, aby króla Zygmunta o oswobodzeniu Roksany powiadomić, a oczy mu z podziwu mało na wierzch nie wyjdą, takie dziwa po drodze widzi:

Słońce, jakby to maj był, a nie grudzień, grzeje, śniegi topnieją, sasanki, fiołki, kaczeńce i stokrocie zakwitają po łąkach, na gałęziach drzew pąki zielenieją, ptaki z głośnym świergotem zza morza ciągną, a w przydrożnych wioskach zakwitają sady wiśniowe...

Zerwał więc ów rycerz kilka rozkwieconych gałęzi i w okna chat wioskowych nimi pukając wołał:

— Książę Gotfryd i księżniczka Roksana wracają! Książę Gotfryd i księżniczka Roksana wracają!

Zrywał się kto żyw i kwiecie wiosenne po drodze zrywając na spotkanie Roksany i Gotfryda biegł.

Jechali tedy Gotfryd i Roksana po usłanej kwiatami drodze, wśród radosnych okrzyków ludu.

A nad nimi leciały rozśpiewane ptaki.

A przed nimi leciały dzieci z pękami rozkwitłych gałęzi wiśni i jabłoni w ręku.

A Gotfryd trzymał przed sobą na siodle Roksanę i rozmawiali ze sobą o zaczarowanym ogrodzie, o zaczarowanym ogrodzie, w którym tysiące motyli, o tęczowych skrzydłach tańczy w słońcu...

Kiedy zaś wjechali do stolicy, zabiły na ich powitanie dzwony wszystkich kościołów i uderzono w tysiąc moździerzy, i z wszystkich okien wionęły ku nim setki kolorowych flag, i rycerze w złotych zbrojach kłaniali im się mieczami...

Tego samego wieczora odbyła się na zamku wielka uczta. Najpiękniejsze damy tańczyły z najpiękniejszymi rycerzami, truwerzy kró-

lewscy śpiewali stare pieśni, a wasale Zygmunta, szlachetni książęta, grafowie i baronowie, pili zdrowie młodej pary złotym miodem w srebrnych pucharach.

A książę Gotfryd i księżniczka Roksana?

Książę Gotfryd i księżniczka Roksana chodzili po swoim zaczarowanym ogrodzie, w którym kwitły purpurowe jak krew róże i liliowe orchidee, i patrzyli, jak tysiące motyli, tysiące motyli o tęczowych skrzydłach tańczy w słońcu.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gorska-o-ksieciu-gotfrydzie/>

Tekst opracowany na podstawie: Halina Górska, O księciu Gotfrydzie, rycerzu Gwiazdy Wigilijnej, wyd. VOTUM, Warszawa 1992.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Angelika Kuch, Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Représentation de saint Georges terrassant le Dragon, œuvre de Jean Besseyrias, vitrail du chœur de l'église Saint-Georges, Saint-Jory-las-Bloux, Dordogne, France, Père Igor, CC BY-SA 4.0

ISBN 978-83-288-6363-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

HALINA GÓRSKA, *O księciu Gotfrydzie, rycerzu Gwiazdy Wigilijnej*
Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji